

Karol Buzek i Jerzy Kubisz.

Elementarz

i pierwsza książka do czytania.



Podręcznik

przeznaczony na pierwszy i drugi
oddział szkoły powszechnej.



Wydanie siódme poprawione.

1939

Nakładem Spółki Wydawniczej „KATOLIK” w Bydgoszczy (Słaski Op.)

Karol Buzek i Jerzy Kubisz.

Elementarz

i pierwsza książka do czytania.



Podręcznik

przeznaczony na pierwszy i drugi
oddział szkoły powszechnej.



Wydanie II-gie poprawione.

1929

Nakładem Spółki Wydawniczej „KATOLIK” w Bytomiu (Śląsk Opolski).

W-12/9/7



K 504257
1178523u







i

i i i



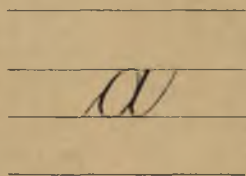
w

w w i w



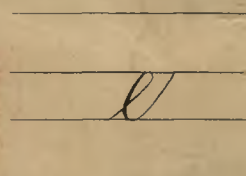
o

o i o w o



u u u

u u u o u



e a e

u e o a e i



Gruenkerb

ul, l

ul

l

ul, ula, ulu, ul,
ule, uli, ile uli,
lala, lali.



ma ma, m

ma ma

m

ma mo mole, o ile

moli, mam mola.



mu ta, r

r u r a

r

mu ta u mu tu,

ra ma, mu r.



willa, w
mama we willi,
w lewo mura wa
i rola, orali wam.



len, n

na roli len, nam
rano orali, mama
na roli, o mamo
malina.



sowa, s

sowa i lis, osa
na lisa, lis w las,
nora lisa, osa
mi na nos.



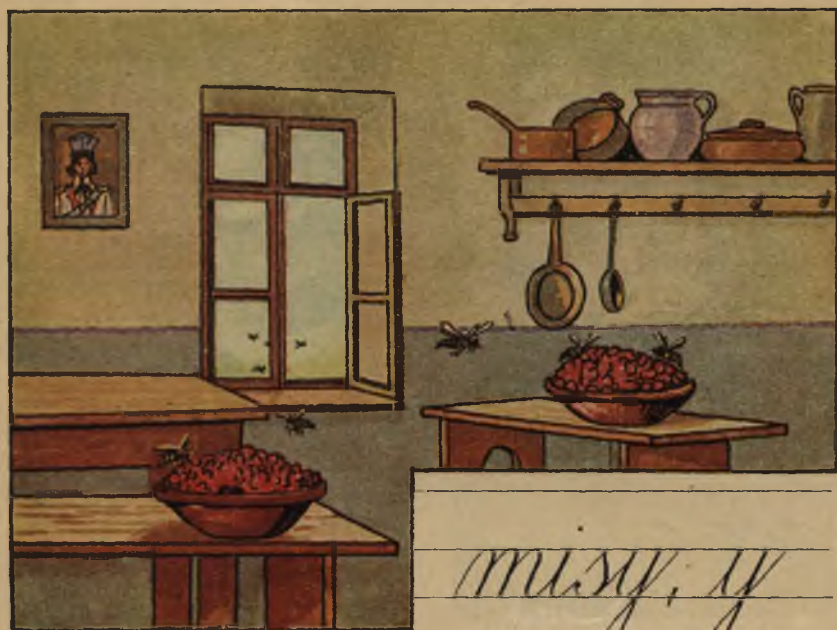
ta wa, t

no wa ta wa, ma ma
wo ta, u to wi li li sa,
ma te we so te, on ma-
lo wa t li sa.



fasola, f

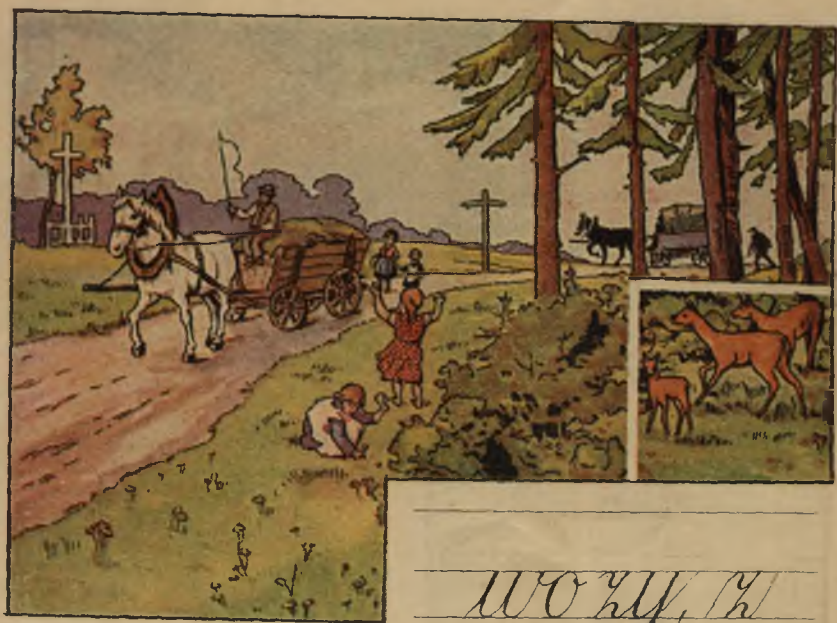
ona wota, mato
fasoli, o fura owsa,
willa ma 1 pilar
i 1 pilar.



misy, y

*mamy 2 misy ma-
lin, misy na ławy,
osy na maliny.*

f t s m n r w l



wozy, z

wozy z lasu, my
za wozami, za
lasem z sarny razem,
sarna lizata mate.



nože, ži

ona ž nožem, a ž
rana u nosa, ka to
wata, že ma to u wa
kata, le žy na to žu.

u i o a e y

u i o a e y

l l u le, i le u li

m m ma mo, mo le!

r r ru ry i ra my

w w le wy mur

n n o na ma ma li ny

s s u was no we mi sy

Ł ł u nas ma ła ła wy

f f fu ra fa so li

z z za ma za na ra ma

ż ż no że ze że la za





jeż, j

ma my jeża, wuj
utłowił jeża, już
leży, je jaja i ser;

j j na ry su je my je ża,

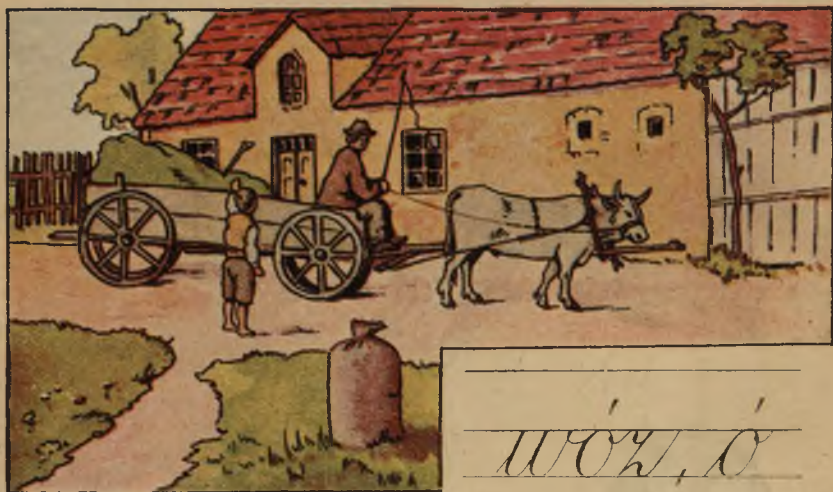
ja za wo łam je ża.



helmy, h

mama zawołata
hej! ułan, mali wo-
tali hejże! ha! hola!

h h u łan ma helm.



wó'z, ó'

wó'ł u wozu, mały
mó'wi: mój wó'ł na
wó'z, a furman:
na to'ż na wó'z!

ó' ó hej! ha muj wó'z!



dom, d

hej! ładny dom, da-
lej dolina, na dole
woda, dym z domu,
u nas ład u domu,

d d da lej że do do mu!



baran, b

*baba ma barana,
on raz do bobu,*

b b ba ba bi ła ba ra na, on do
bu dy, ma ła mó wi: da ruj mu!
ba ba da ro wa ła ba ra no wi, ma ła
da ła mu so li, bo on lu bi sól.



dał, w

*za willą dał, na do-
le tawa, nad tawą dał,*

A a ma li z ma mą i dą mu rawą,
ma li i dą za ma mą, ma ją ba ra na
ze so bą.



góral, g

*duża góra, góra ma
gaje i lasy, górale
ida z góry nadół.*

*g g za góra la mi ga jo wy,
on u łowił gi la, i go łab je go.*



torby, t

gajowi mają torby;
idą z lasu na łąki;

t t tam żółte żyto, bo to lato;
lud bo so bez buków; mo ty le
latają; ja za tym mo ty le,
ty za tam tym.



bęben, i

on bije w bęben; i da
do debiny na zabawę;
mają wesołą wojnę;

Ł ę je den w gó rę na dąb;
tam za ło żył li nę, u do łu do li ny
da li bat; te raz ma ją mi łą za ba wę.



paw, p

paw ma duży ładny
ogon; on jest dumny;

p p paw to pan; pa ra du je po
po lu; wy la tu je na li pę, po tem
ha ła su je; o, tu pa da; tam pod
li pą i to po lą ma ło pa da.



koty, k

jaki jest ten kot?
tu jest i kotek, raz
ten kot hop! na ławę;

k k tam po rywa ka wałek ryby;
kot z rybą pod łóżko; tam leżała
duża suka; ta po rywa kęs.



chata, ch

*na lasim stała stara
licha chata;*

ch ch tam żył u bo gi chłop
z chłop cem; mać ka by ła cho ra;
chłod no tam by ło i chle ba by ło
ma ło; jed nak ko cha li swą chatkę;
raz w la sach po lo wał bo ga ty
pan; na noc za je chał do cha ty;
ra no ob da ro wał u bo gich.



szpak, sz

na gruszy na szkotą
był kadłubek, tam
żyły szpaki;

sz sz latały zawsze z szu mem
i szu ka ły o wa dów; wszy scy je
sza no wa li; raz zły chłó pak zło-
wił szpa ka; szpak kwi lił w ka pe-
lu szu; drogą szedł sta ru szek, ten
za wo łał na chłó pa: po co pło-
szysz szpa ki.



czapki, cz

*u tego kupca jest dw-
-ię czapek; kup my czapkę;*

cz ta czar na jest z ow czej
skór ki; włó ż ją! o, za du ża, wpa-
da na czo ło i o czy; ta szara jest
lepsza; czy ją chcesz? tak; no, to
ją masz; kup my też dla ma łej
w do mu tę czer wo ną cza pecz kę.



szczotka, szczer

*wczoraj padał deszcz,
było błoto, zawałatem
płaszcz, dam go na strych;*

skąd tu woda deszczowa? o, tam
jest szcze li na w da chu; we zme
dra bi nę; wej dę po szcze blach
i za tkam szczy pą szcze li nę; je
szcze płaszcz jest mo kry; ju tro
o czy szczę go szczot ką.



rzeka ma dwa brzegi;

rz rz na brze gach rze ki ro sną
drze wa i krza ki; drze wa sto ją rze-
da mi; są tam brzo zy, li py, to po-
le i dę by; krza ki kwit ną, a pszczo-
ły brzę czą do ko ła; na krza ku
leszczy ny ro sną orze chy; oj, przyj-
dę tu zno wu, gdy bę dą doj rza łe;
sły sza łem w no cy grzmo ty; to
by ła bu rza; rze ka po bu rzy jest
wez bra na; patrz, jak pły ną z wo-
dą róż ne rze czy.



dzwon, dz

*są dzwony, dzwonki i
dzwoneczki;*

dz dz sły szę dzwon po żar ny;
pę dzę na ra tu nek; wi dzę łu nę;
po dro dze ja dą stra ża cy; przy-
cho dzę do po ża ru; sły szę ludz ki
krzyk; cha ta spa lo na; u bo dzy tu
nę dza rze; bar dzo mi ich żal.



niebo, mi

*pogodne niebo jest mo-
dre jak niezapominajka;*

niebo nie pogodne jest szare lub
czarne; co jest na niem za dnia?
słonko w południe najmocniej
grzeje; od niego topnieją lody;
w nocy widzę tam dużą latarnię;
jak ją nazywamy? gdy jest okrą-
gły, mamy pełnię.



jabłoń, n

*jabłoń kwitnąca wy-
daje przyjemną woń;*

n ń bę dą na niej smacz ne
jabł ka; od słoń ca doj rze ją nie-
dłu go; i szer szeń lu bi jabł ka; nie
goń szer sze nia, bo kłu je; na ja-
bło niach pta szki ma ją gniazd ka;
nie czyń im krzyw dy.



sierp, si

*siostra poszła ze sier-
pem na łąkę;*

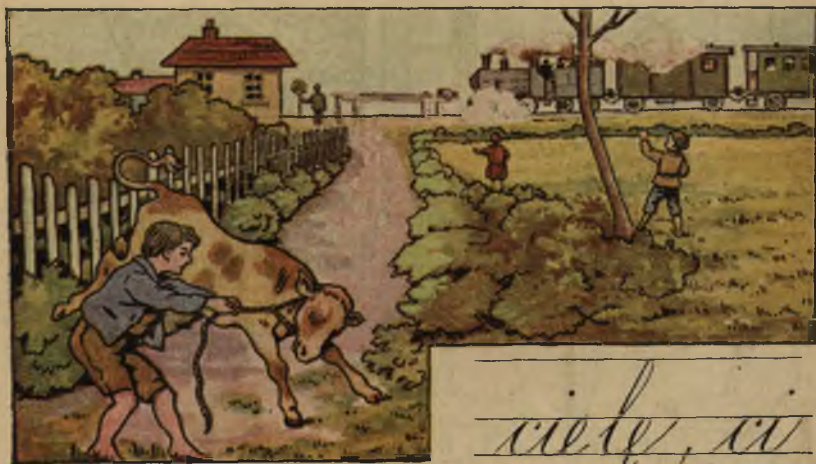
łąka leży za wsią; przejdę się też
tam; siostra już nasiekla trawy;
oj, tam pasie się zając; nie chaj
na je się jesienią; nie za długo mo-
że już go zastrzelić; siostra nie-
sie trawę prosiętom i gęsiom; tu
od wczoraj leży kosa; na kosie
jest jeszcze rośsa; na koszę też
nieco trawy na siano.



geś, ś

ma my starą geś i ośm
młodych;

Ś ś gdy śmy raz śnia da li, ktoś
u kradł nam starą geś; śla dy szły
do la su; były wi docz ne na śnie-
gu; by ło to w śro dę; we czwar-
tek po śłał nam my śli wy geś; sły-
szał on coś w le śnej gę stwi nie;
to geś gę ga ła; my śli wy po szedł
za gło sem i o de brał geś ra bu-
sio wi; ra bu sia zaś od dał są do wi.



cielę, ci

ciemne cielę paster się
przy płocie;

wtem nad je chał po ciąg; cie lę
prze lę kło się i u cie kło; wpa dło
do po ko ju; tam stu kło gli nia ne
na czy nie; w ką cie sta ło cia sto;
cie lę je wy la ło; na szczę ście przy-
szedł oj ciec; ten za wo łał: u wa-
żaj cie na cie lę! patrz cie, i le naro-
bi ło szko dy!



ćwikła, ć

*ćwikła ma nać; korzeń
ćwikły jest czerwony.*

ć ć ćwikłę trze ba naj przód siać;
po tem roz sa dzać, pleć, oko py wać
i pod le wać; gdy u ro śnie, trze ba ją
wy ry wać, myć, u go to wać i w płat
ki kra jać; płat ki trze ba u ło żyć
w na czy niu; trze ba do dać chrza
nu i kmi nu; po kil ku dniach sa
ła ta jest go to wa; jest bar dzo
smacz na; na zy wa my ją też ćwikłą.



liść, śc

liść służyć może na
żywność dla bydła i kóz;

jesienią liść opada; liście są wtedy żółte; trzeba na nieść liścia na ściółkę; daj mi tu część liścia, bo chcę o błożyć liściem sciany obory; nogami muszę je do brzo ugnieść; ach, skaleczyłem się; w liściu była kość; sprawiła mi boleść; muszę iść po jakąś maść.



ziemniaki, ki

ziemniaki rosną w ziemi;

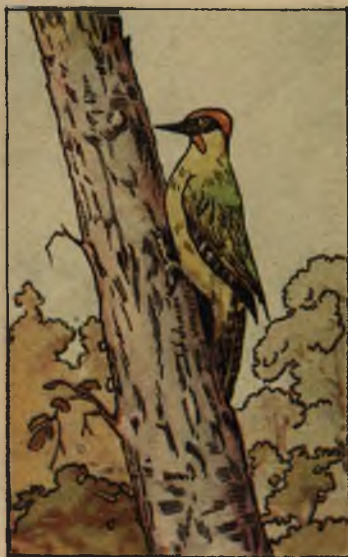
matka poszła kopać ziemniaki;
ziemniaki wrzuca do kosza; z matką
poszedł na pole chłopczyzna
i kotiołek; chłopczyzna wyrywa
zielisko i nac; kotiołek gryzie liście;
chłopczyzna nachyla mu gałęzie;
słońce zaszło; oziębiło się;
matka wzięła ziemniaki i wszyscy
idą do domu.



źródło, ź

źródło wytryska z ziemi

ź z od źródła płynie po tok;
rażno spada po kamiach; z po-
toków powstaje rzeka; gdy jest
gorąco, wlaż do rzeki; kto źle
pływa, może utonąć; tonące mu
podać gałąź! tam nad rzeką są
łaznie; weźmy dło, wymyj i wy-
kap się; ja przyjdę później.



Dzięciół, dzi

*było to
w listopadzie;*

byłem w ogrodzie;

nagle w sadzie słyszę głośne pukanie; co tam mogą być za ludzie? tam i dzie dza du nio; on mnie po-
u czy, co się tam dzie je; dza du-
niu, kto tam ku je? to dzię ciół; je-
ze li pójdiesz ostroż nie, to go zo-
ba czysz; ma dłu gi dziób; dzióbem
ro bi dziu rę w ko rze; z dziu ry wy-
cią ga o wa da po o wa dzie; dzie-
ku je, dza du niu, za po u cze nie.



kołódzi, dzi

*ojciec mówił do syna:
idź do dębiny na kołodzie!*

dzi dź nie bądź tam dłu go;
przez staw prze jedź ło dźią; łódź
jest przy brze gu; cze ładź po je-
dzie z to bą; po mo żesz jej dźwi-
gać wor ki z żo łę dźia mi; weź cie
też dłu gą żerdź; w żerdź wbij
gwóźdź i bę dzie klucz ka do zrzuc-
ca nia o wo ców z dę bów; w sto-
do le sto i kadź; do niej wsyp cie
żo łę dzie.



wioska, wi

było to na wiosnę wie-
cioxorem; ciepły wietrzyk
powiewał;

dziewczęta robiły wieńce z kwia-
tów; na raz usłyszały wielki ha-
łas; przez wieś szedł czło-wiek
z niedźwiedziem; wiódł go uwią-
zanego na łańcucho; wiele o sób

szło za niedź wieziem; słu żą ce
z wia dra mi, dziew czę ta z wień-
ca mi, na wet wie śnia cy chcie li
wi dzieć niedź wie dzia;

czło wiek prze szedł ca łą wio skę;
za wsią przy sta wie sta nął i za-
czął grać; na ten dźwięk niedź-
wiedź sta nął na dwóch no gach
i zaczął tań czyć na tra wie; do-
ko ła sta li ba wią cy się lu dzie;
wie lu chłop ców wy szło na wierz-
by; po tem czło wiek dał niedź wie-
dzio wi ćwierć bo chen ka chle ba;
to by ła je go wie cze rza; wię cej
jed nak chle ba da ły mu dzie ci;
przy nio sły mu też świe żej wo dy;

na noc za mknął czło wiek niedź-
wie dzia w pu stym chle wie; na
dru gi dzień po szedł da lej do in-
nej wio ski; dzie ci jed nak je szcze
dłu go o po wia da ły o wiel kim
zwie rzu.



miasto, mi

mały chłopczyna patrzył
często w płomień i w pro-
mienię słońca; od tego
dostał zapalenia oka;

matka wzięła go dla tego do
mieszkania; tam mieszkał mądry le-
karz; malarz nie był jeszcze w mie-
ście; o głędał wszystko z nie-
zmierzną ciękawością; najprzód
szli na targ; tam matka sprzeda-
ła śmietanę i miód; śmietanę
mierzyla li trem;

potem poszli ulicą między do-
mami do lekarza; ulica była
brukowana kamieniami i za mie-
cioną; lekarz zapytał się młodego
o i mię; potem wytarł mu oko
miękką watą; do oka wsypał mu
trochę proszku; potem po wie-
dział: przyjdź znów za miesiąc;

matka kupiła mięsa na nie-
dziele a w aptece proszku we-
dług recepty; chłopczyka chciał
mieć dwa rzeźmie do no sze-
nia książek; matka mu je kupiła;
potem wracali do domu; na dru-
gi dzień już nastąpiło polepszenie.



pies, pi

kupiec ma pięk nego
popielatego psa;

bar dzo go pielęgnu je; nie ko pie
go i nie bi je; raz pies le żał przy
pie cu ku chen nym; na pie cu przy
rzą dza no pie cze nie; na sto le le
ża ło pie czy wo i ku pio ne mię so;
ku char ka bi ła pian kę na ka wę;
przy tem śpie wa ła ja kąś pio sen kę;

chło piec sku bał pie rze za bi te go
ko gu ta; oj, ko gut nie bę dzie już
piał;

wtem wszedł o stroż nie ko tek,
sko czył na sto pień, ze stop nia na
stół; po wą chał wszyst ko; naj le-
piej pa chnia ło mu mię so; na raz
ła pie je i buch! przez drzwi do
po ła;

ale pies u wa żał na ko ta; pręd-
ko jak pio run sko czył za ko tem;
za psem ku char ka z pod nie sio ną
pię ścią, a za ku char ką chło piec;

w przed sion ku kot o ba lił pu-
dło z po pio łem; na po lu prze-
sko czył ko piec pia sku, wy stra-
szył pięć kur i u ciekł do sa du;
ale pies już mu na sta wał na pię-
ty; kot zo sta wia mię so i dra pie
się pręd ko na pień drze wa; tam
u gó ry sa pie; ku char ka za bra ła
mię so, a psu da ła w na gro dę
ka wa łek pie czy wa.

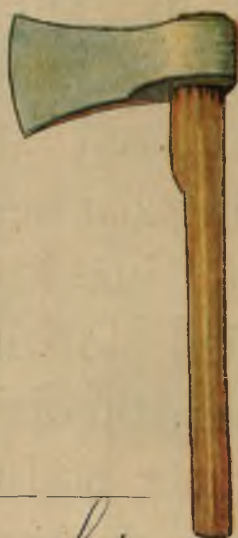


grabie, bi
już po kośbie zboża,
kobiety je grabią gra-
biaми;

wtem na niebie ukazują się chmu-
ry; trze ba ze zbożem biec do sto-
doły; nie czas te raz na o biad;
kto nie pamięta o chlebie, do zna

bie dy; kto nie pra cuje, za wsze
bę dzie miał bie dę;

przed sto do łą wy pa da tro-
chę ziar nek; to będą dla dro-
biu; już le cą po nie bia łą go łą-
bie; sie dzia ły so bie na dę bie;
już dzió bią ziar na; nad bie ga ko-
gut z podniesionym grzebieniem;
bi je dzió bem go łą bie; te raz sam
zbie ra ziar na; go łą bie le cą do
ja strzę bia ze skar gą na ko gu ta;
ja strząb mó wi: za raz tam zro bię
po rzą dek; przy bie ga i krzy czy
na ko gu ta: co ty bi jesz bied ne
go łą bie! i zja da bied ne go ko-
gu ta a po tem go łą bia po go łą-
biu; na krzyk przy bie gła ko bie-
ta i wy pło szy ła ra bu sia gra-
bia mi.



siekiera. ki

kiedys ojciec poszedł
z chłopakiem i dziew-
czynką do lasu, na ra-
mieniu niósł siekiere;

szli rażnym krokiem za strumykiem; przy lesie pod krzakiem czekał już drwale; wszyscy mieli piły i siekiry złożone pod świerkiem;

kiedy ojciec rąbał, dziewczynka z chłopakiem poszli dalej do lasu; on zbierał bukiety, ona kwiaty na bukiet, na raz stanęli przed jakimś domkiem;

ściany jego były z cukierków, dach pokryty był kołaczami; w okieneczku za miastem szkiełko były opłatki, a płoty były z kiełbas; oboje z okrzykiem zbliżyli się do domku; przed domkiem pod krzakiem siedziała wiedźma.



ogień, gi

w wielkim piecu pa-
lił się ogień; w igiel
choiny sypały się
iskry;

wiedźma porwała jedno i drugie dziecko, zamknęła je w chatce i zasunęła rygiel; drzwi podparła drągiem; po tem długiem żełazem poruszyła żar i dołożyła giętych gałązek; gdy się ogień wypalił, wzięła chłopca za rękę i kazała mu sięść na łopacie; chciała go upiec; ale chłopiec rzekł: pokażcie mi, jak się siada na łopatę; a gdy wiedźma uśladła, chłopiec porwał za łopatę i wsunął babę do pieca; po tem co tchu uciekali; już ich też szukano i nawoływało rogami; w domu opowiedzieli, jak chłopcu udało się figiel; tak uszli srogięgo nie bez pieczeństwa.

nie kreskuje my spółgłossek
miękkich przed i.

*było to w ziemi;
rolnik woził ze wsi
ryby do miasta;*

jeździł przez las; wiedział o tem
lis; raz położył się na drodze i
leżał ci chutko; wieśniak sądził,
że lis jest martwy i rzucił go na
wóz do ryb; potem podciął ko-
nika i pojechał;

lis zaczął ostrożnie zrzucać
z wozu rybę po rybie; potem
zsunął się sam na ziemię i po-
znosił ryby pod krzak; teraz sie-
dzi i zjada, aż ości trzeszcza
w zębach.

wtem nadchodzi wilk; nie może dzisiaj nic ułować; jeszcze się po ci; zakradał się na gęsi; ale go jakieś psiśko przepędziło; teraz aż zgrzyta ze za zdrości; ale lisowi ani się śni zaprosić go na posiłek; dlatego wilk pyta: paniczu, a gdzieżeś nałapał tyle ryb? a lis mówi: w rzece, w rzece, siedłem na łodzie, włożyłem ogon do wody, i tyle ryb się uciepiło, że le dwie mogłem uciągnąć;

pełdzi wilk ku rzece, wsadza ogon do wody i siedzi godzinę; ale nie było ani jednej ryby; mróz coraz większy ścisła; idą dzieci ze szkoły, widzą wilka i wołają ludzi; wilk chce uciekać, lecz nie może wyciągnąć ogona; ogon przymarzał w wodzie; wtedy wilk szarpnął, wyrwał pół ogona i uciekł do lasu.



dżdżownica, dziś

*byłem dzisiaj po drodze;
na polu było dżdżysto;*

po drodze pełzało dużo dżdżownic; one w dżdżysty czas wychodzą z ziemi; gdy wtedy wozy jeżdżą, zmiażdżą niejedną dżdżownicę; gdzieś daleko żyje ptak, który zjada dżdżownice; nazywa się dżdżownik; przed dżdżystym czasem gwizdę.

ma ła a be ca dło

a ą b c ć cz d

a ą b c ć cz d

dz dź dż e ę f g

dz dź dż e ę f g

h ch i j k l ł

h ch i j k l ł

m n ń o ó p r

m n ń o ó p r

rz s ś sz t u w

rz s ś sz t u w

y z ź ż

y z ź ż

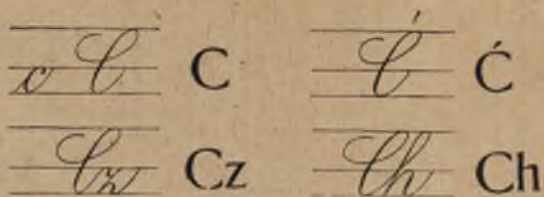




U U W W

*Urbaś i Władek
mieszkali blisko siebie.*

U rodziców odwiedzali się codzień.
Uczęszczali do tej samej klasy.
W szkole wołał ich pan nauczyciel:
Urban! Władysław! Władek wstępował zawsze rano po Urbasia.
Urbaś czekał na niego i potem szli razem do szkoły. Uczyli się obaj dobrze i zawsze byli grzeczni i zgodliwi. Wszyscy ich lubili.



Co ja umiem?

Umiem głoski małe pisać i nazywać,
Umiem też wyrazy gładko odczy-
tywać.

Co powiem napiszę, co napiszę
czytam.

Czego nie rozumiem, o to się
zapytam.

Czasem ciemno jeszcze, gdy do
szkoły śpieszę,
Chociaż mróz dokucza, naprawdę
się cieszę;

Codzień bowiem nowych rzeczy
się dowiemy.

Co, czy nie dobrymi, mądrymi
będziemy?

o O O

g G G

Oleś, syn garbarza, biegat po brzegu wexbranej rzeki i wpadł do wody. Gdy to ujrzat młynarz, mieszkający na drugim brzegu, skoczył do wody i wyratował tonącego Olesia.

W jakiś czas potem zapalił się w nocy młyn. Ogień zajął już cały dom, kiedy się w nim ludzie obudzili. Cała rodzina wybiegła z palącego się domu, ale w pośpiechu wszyscy zapomnieli o małym Grzesiu. Wtem dziecko zapłakało przerażliwie wśród ognia i dymu.

Wszyscy struchleli, ale nikt się nie odważył wejść do stojącego w płomieniach młyna. Garbarz przybiega w tej strasznej chwili, wpada odważnie w kłęby dymu i po krótkiej chwili wynosi żywego Grzesia. Oddając go matce, zawołał:

— Chwała Ci, Ojczy niebieski, żeś mi pozwolił odpłacić dobrem za dobre!



Co to jest?

W stajni mieszka, nóżką grzebie,
Owies jada, a w potrzebie
Ułana nosi na grzbiecie.
Co za zwierzę? — zgadnij, dziecię!

S S Sz S Ś Sz

Staś miał kotka siwego. Wótano ma-
miego Siwus. Stato się, że jednego
dnia Siwus zaginął. Czy uciekł,
czy mu się coś złego stato, nikt
nie wiedział. Szukali go wszę-
dzie i wótali. Siwusia nigdzie
nie było.

Całą noc Staś nadśłuchiwał, ale
Siwus ani w nocy, ani nazajutrz
nie wrócił. Staś był mocno za-
smucony. Ojciec obiecał mu in-
nego kotka, Staś jednak żadnego
innego kotka nie chciał, bo tęsknił
za swoim Siwusiem. Upłynęło kilka

tygodni, a Siwusia jak nie było tak nie było. Ślad wszelki po nim zaginął.

Staś szedł raz przez podwórko. Wtem słyszy za sobą ciche miauczenie. Ogląda się. Skulony jakiś kotek siedzi na płocie i miauczy. Staś przygląda się kotkowi i poznaje, że to Siwuś. Ucieszyli się obaj. Stasiowi na płacz się zbierało, gdy oglądnał Siwusia. Wy-chudł i wynędzniał. Skórka na nim obwisła. Sierść się najeżyła. Siwuś był chory. Staś pielęgnował go jednak i Siwuś prędko wrócił do zdrowia. Gdzie Siwuś był przez parę tygodni i co robił, o tem jednak nikt nigdy się nie dowiedział.





L L L L L Ł e e e E

Siedział kruk na drzewie.

W dzióbku trzymał kawałek
sera. Lis podszedł i zobaczył ser.
Ej, dobrzeby było zjeść kawałek
sera na śniadanie, ale jak go
krukowi z dzióbka odebrać?

Chytry lis ma na wszystko sposoby.
Siada pod drzewem, robi słodką
minę i rzecze: Oj, panie kuku,

jakiś ty piękny! Lśniesz się cały w słońcu. Oczy masz jak gwiazdy. Ładną masz postać. Śpiewasz zapewne także pięknie i masz śliczny głos. Echo twego głosu rozlegać się musi daleko.

Ucieszyły kruka te pochwały. Chciał pokazać swój piękny głos. Otworzył więc dziób, aby zaśpiewać. Lecz wtem ser wypadł mu z dzioba. Lis porwał go i uciekł do swej nory.



i Y I j J J

Co ty robisz, Jasiu?
Idę do sadu na jabłka, Jadwisiu.
Jabłka jeszcze niedojrzałe, leproszy
chleb z serem, rzekła siostra.

Jaś nie usłuchał starszej siostry,
narwał i najadł się zielonych i kwa-
śnych jabłek. I cóż się stało? Oto
już dwa dni Jaś leży chory i pije
rumianek.

Widzisz, Jasiu, a nie mówiłam
ci: Jedz raczej chleb z serem,
a zostaw jabłka niedojrzałe.



Jeż i Ignaś.

W sadzie leżało na ziemi dużo płonek. Wiedział o tem jeż. Chciał sobie nazbierać jak najwięcej płonek na zimę do swej kryjówki. Jedną po drugiej w pyszczku nosić, to trwa za długo. Już zaraz zaświta dzień. Ludzie przyjdą i pozbierają płonki. I co tu robić?

Jeż poszedł po rozum do głowy. Wywraca się na grzbiet i tarza się po płonkach. I istotnie dużo płonek wbiło się na jego ostre kolce. Jeż obciążony idzie wolno do swego legowiska. Wtem spostrzegł go pies i zaczął głośno szczekać. Ignaś, syn gospodarza, usłyszał szczekanie psa w sadzie. Wstał przeto z łóżka i wybiegł zobaczyć,

czy kto nie kradnie owoców. I zobaczył w sadzie jeża i dookoła niego skaczącego psa. Jeż bardzo sapał, bo się śpieszył, a płonki były ciężkie. Ignas odpędził psa i pozwolił jeżowi zanieść płonki do swojej kryjówki.

Od tego czasu mówią, jeżeli ktoś mocno sapie, że sapie jak jeż z płonkami.



Co to jest?

Słaby, mały, w lesie stoi,
Wcale się nie rusza
I przed nikim nie zdejmuje
Swego kapelusza.



K H K H H

Henryk znalazł na drodze mo-
rzyk. Hej, jak się ucieszył! Ku
większej jeszcze radości spostrzegł,
że mógł być bardzo piękny.

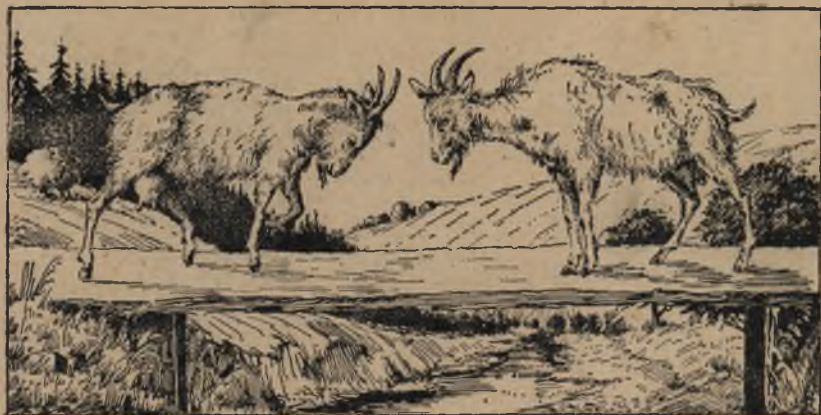
Okładki miał białe, ostrza były
błyszczące.

Koło drogi rosły gąszcze. Hen-
ryk wyciął sobie tam pręt.

Ledwie wrócił na drogę, spostrzegł nieznanomego pana, który szedł bardzo powoli i wciąż patrzył na drogę. Henryk zmiarkował, że pan czegoś szuka. I dlatego zapytał: Czego szukacie? — Wtedy pan odpowiedział: Wypadł mi nożyk z kieszeni. — Jak wyglądał ten nożyk? — zapytał Henryk. — Kościane białe okładki i dwa ostrza miał nożyk — odpowiedział pan.

Henryk wiedział już, że on znalazł nóż pana. Sięgnął bez namysłu do kieszeni i podał go nieznanomemu z zapytaniem: Czy to nie ten? — Jest to ten sam — odpowiedział pan i odebrał nóż. Henrykowi dał znaleźne i rzekł na pożegnanie: Kochany chłopcze, pozostań zawsze tak uczciwym, jakim jesteś obecnie.

Ucieszony swym dobrym uczynkiem wrócił Henryk do domu.



Spotkały się raz dwie kozy na wąskiej kładce, położonej nad głębokim strumykiem. Jedna chciała przejść na tę, druga na tamtą stronę. — Hej, na bok! — zawołała pierwsza. — Oho, zaczekaj moja pani! — odpowiedziała druga. — Ja tu byłam pierwsza, więc też pierwsza przejdę! — Cóż ty sobie myślisz? — krzyknie tamta — ja starsza. — I poskoczyły ku sobie, uderzając się różkami. Wnet zatoczyły się obie i wpadły do strumyka.

Jakże to źle być niegrzecznym i upartym.

ny ny ny **Z** **Ż** **z**

*He i brzydko piszesz, Zuziu!
Jakie te litery niezgrabne!
Szpetne na przykład to dwie E.*

U góry ma brzusek dwa razy większy niż u dołu. Ha! ha! ha! Co to za pismo! — I Zygmus śmiał się do rozpuku, a Zuzi aż łzy w oczach stanęły. Żal się zrobiło starszej siostrze Zofji, małej siostrzyczki, więc upomniała Zygmutusa.

— Wstydź się, Zygmutusiu, żeby się tak zaraz wyśmiewać. I siebie ciągle chwalisz. Żadna to sztuka, że ty lepiej piszesz, przecież już

dwa lata do szkoły chodzisz,
a Zuzia dopiero pół roku.

— Hm, co mi za adwokat
z panny Zofji — zaśmiał się zno-
wu Zygmunt — bronisZ Zuzi, bo
sama bazgrzesz jak kura. Zeszyty
wasze pełne plam i błędów. Wszak
mnie to się nigdy nie zdarza. Zo-
baczcie, jakie śliczne to zadanie,
jak starannie i czyściutko napisane!
Jeszcze tylko tu kropkę zrobię...

I w zapale, chwając się tak bez
wstydu, Zygmunt śmiało ruszył
piórem i zrobił ogromną plamę.

Co to jest?

Zawsze jasne i gorące,
Świeci ludziom lat tysiące.

W A A W N N W M M

Justynko, mówi Michaś, czy do-
bra buteczka? - Niezła. - A dasz
mi trochę? - Ani kawateczka.
Matka, dobywszy piernik, rze-
kła do Justynki: Nie dam też
tobie, skąpa, ani odrobinki.

Adaś przechodził przez ulicę.
Nagle nadjechały dwa wozy. Koń
obalił chłopca i koło złamało mu
nogę. Zaniesiono biedaka do domu,
bladego, jęczącego z bólu. Matka
jego, chora, o mało nie zemdlą-
ła z przestachu. Miarkując to Adaś,
przestał jęczeć. Nawet gdy lekarz
opatrywał mu nogę, gdy ją ciągnął,

obwijał, chłopiec nie krzyknął ani razu, tylko zęby zacisnął.

— Nie boli? — zapytał go doktor.

— Ach, bardzo boli! — szepnął Adaś.

— Czemu więc leżysz tak spokojnie, nie narzekasz, nie zapłaczesz?

— Nie chcę martwić Mamusi — odrzekł Adaś.

Jak Helcia śpiewała.

Jabłoneczka biała
Kwieciem się odziała,
Obiecuje nam jabłuszka,
Jak je będzie miała.

Mój wietrzyku miły,
Nie wiew z całej siły,
Nie otrząsaj tego kwiecica,
Aby jabłka były.

P P B B
R R Rz R Rz

*Trzecieletnia Różia miała ma-
mę młodą a babunię już starą.
Kochała obie i one ją takie.
Przypadły urodziny babuni.*

Rankiem Różia odmawiała swój
pacierz, a starsza siostrzyczka Basia
przypomniała jej:

— Proś też, żeby Pan Bóg dał
babuni wszystko dobre. Pomódl
się też za mamę, żeby długo żyła
i była kiedyś tak starą jak babunia.
Różia zawołała: — O to nie będę
się modliła! Raczej prosić będę
Pana Boga, żeby babunia była tak
młodą jak mama.



t T

f F

W dzień gorący szedł wiesniak
Tomasz z synem Frankiem do
miasta. Ojciec spostrzegł leżącą
na drodze podkowę i rzekł do syna:

— Tam leży podkowa, podnieś ją,
Franku!

— Nie warto się schylać po taką drob-
nostkę — rzekł Franek.

Tymczasem Tomasz nic nie odpowiedział; sam podniósł podkowę i schował.

Przed miastem stała kuźnia. Tu wieśniak sprzedał podkowę a za otrzymane pieniądze kupił w mieście wisien.

Gdy w południe wracali z miasta, było bardzo gorąco. Upał i pragnienie coraz bardziej Frankowi dokuczały, a dokoła nigdzie nie było studni ani strumyka. Chłopiec pozostawał wtyle.

Wtem ojciec upuścił jedną wiśnię. Franek ją dostrzegł, podniósł pośpiesznie i zjadł ze smakiem. Trochę go sok wiśni odświeżył. Po niejakię chwili ojciec upuścił drugą wiśnię. I tę Franek zaraz podniósł. Figiel ten wieśniak powtarzał potem już co kilka kroków, a chłopiec podnosił wiśnie i zjadł do ostatniej.

Wtedy Tomasz obrócił się i rzekł do syna: — Gdybyś był, Franku, raz jeden schylił się po podkowę, nie potrzebowałbyś tyle razy schylać się po wiśnie.

<i>d</i>	<i>D</i>	<i>D^z</i>	<i>D^ż</i>	<i>D^ż</i>
d	D	Dz	Dź	Dż

*Dorotka i Doman wyjechali
z rodzicami z miasta na wieś
do dziadunia i babci. Dzieci
bardzo się cieszyły z tego wy-
jazdu. Dorotka i Doman ko-
chają bowiem bardzo dziadu-
nia i babcię i bardzo lubią
u nich być.*

Dziadus ma nad łóżkiem kara-
bin i prawdziwy pałasz, bo był
niegdyś żołnierzem i bronił Oj-
czyzny. Babcia gościła swe dzieci

i wnuki najlepszemi przysmakami. Dobrze i wesoło wszystkim było. Po obiedzie wszyscy wyszli w pole i podziwiali plony. Długo także bawili w ogrodzie, gdzie skosztowali wczesnych gruszek i jabłek.

Dziwiły się dzieci w podwórzu, że parobek nazwał konia Łucą, i że służąca wołała na krowy: Chowano! Krasulo! Przy psiej budzie Doman zaprzyjaźnił się ze starą Łapą i z małym Burkiem.

Dawno już było po zachodzie słońca, rodzice i dzieci pożegnali staruszków. Dziadunio dał dzieciom na odchodnem dwa koszyki owoców. Dźwigały je z radością dzieci i niosły na wóz. Gdy wóz miał ruszyć z miejsca, zegnali się wszyscy jeszcze raz słowami: Z Bogiem! Do widzenia! Dobranoc!



Jedzie pociąg zdaleka,
Ani chwili nie czeka,
Ani chwili nie czeka
I przed nami ucieka.

Konduktorze łaskawy!
Zawieź nas do Warszawy!
Trudno, trudno to będzie,
Dużo osób jest wszędzie!

Pięknie pana prosimy,
Jeszcze miejsca widzimy.
A więc prędko siadajcie,
Do Warszawy ruszajcie!

Duże abecadło.

A B C C' Cz D

A B C C' Cz D

Dz Dź Dż E F

Dz Dź Dż E F

G H Ch I J

G H Ch I J

K L M N O

K L M N O

P R Rz S Š Sz

P R Rz S Š Sz

T U W Y Z

T U W Y Z

ž ž

ž ž



1. OJCZE NASZ.

*Święty Boże, Ojcze nasz,
Ty serduszka nasze znasz,
Więc tem sercem proszą dziatki
O zdrowie dla mamy, tatki.*

*Daj nam chleba powszedniego,
Strzeż od cierpień, strzeż od złego,
Święty Boże, Ojcze nasz,
Ty potrzeby nasze znasz.*

2. Jezus, przyjaciel dzieci.

Pan Jezus chodził z apostołami od miasta do miasta, od wsi do wsi i nauczał ludzi. Uczył ich, jak mają kochać bliźnich. Ludzie przybiegali zdaleka, gdy się dowiedzieli, że Pan Jezus nadchodzi. Przyносили też chorych, a Pan Jezus ich leczył.

Pewnego razu matki przyprowadziły do Pana Jezusa swoje dzieci, aby Swe ręce włożył na ich głowy i błogosławił je. Był już wieczór, a Pan Jezus był zmęczony daleką drogą i nauczaniem i usiadł na wzgórzu, aby odpocząć. Apostołowie nie chcieli dlatego dopuścić matek do Niego. Gdy to Pan Jezus spostrzegł, rzekł

łagodnie: Dopuśćcie dziateczkom przychodzić do Mnie, a nie zabraniajcie im, albowiem ich jest królestwo niebieskie. I obejmował dziatki, kładł na nie ręce i błogosławił je.

Pan Jezus kocha dzieci za to, że są niewinne i mają czyste dusze.

3. Sumienie.

— Moja mateczko, powiedz mi, jedyna,
Czyj to głos słyszy zwykle serce moje,
Kiedy coś zbroję?

Kto mi wymawia, kto mnie upomina,
Kto mnie tak trwoży i wstydzi,
Że się rumienię, choć mnie nikt nie widzi?

A znowu kiedy co dobrego zrobię,
Jakąż to dziwną radość czuję w sobie?

Jakiż to głos przyjemny szepce mi pochwały,
Aż się piękny, wesoły wydaje świat cały?

Cóż to za głos, mateczko, tak różnego brzmienia?

— To głos twojego sumienia.

4. MATKA.

*Zwróć się, dziatwo, ku tej dobie
W niemowlęce twoje latka,
Gdy jak Anioł-Stróż przy tobie
Pochylona stała matka.*

*Jak już wtedy wzrok dziecięcia
Jej jedynie szukał samej,*

*Jak garnęłaś się w objęcia
Ukochanej swojej mamy.*

*Czy pamiętasz, dziatwo droga,
Kto to pierwszy z otoczenia
Zwracał twoją myśl do Boga,
Rączki składał do modlenia?*

*Zwróć się, dziatwo, ku tej dobie,
W niemowlęce twoje latka,
Gdy iak Anioł-Stróż przy tobie
Pochylona stała matka.*

5. Spojrzenie matki ratuje dziecko.

Z pewnej menażerii uciekł lew i biegał po ulicach miasta. Przerażeni ludzie uciekali przed straszmem zwierzęciem, gdzie kto mógł. Uciekała także pewna kobieta z dzieckiem na ręku. Wszyscy ją potracali, a że nie mogła biec prędko, więc ją wyprzedzili. Znalazła się sama z dziećciem na środku pustej ulicy. Spojrzała za siebie; straszliwy zwierz był już tylko o kilka skoków od niej.

Kobieta zdrętwiała z przerażenia i nie mogła się ruszyć; przestrach jakby przykuł ją do miejsca. Wyteża jednak ostatnie siły i rzuca się naprzód ku bocznej uliczce; lecz w tym zapędzie dziecko zsuwa się z drżących jej rąk na ziemię.

Lew skoczył i pochwycił dziecko za sukienkę. Wtedy matka rzuca się na kolana przed zwierzęciem, a patrząc prosto w oczy lwa, błaga go z płaczem, aby jej dziecko oddał.

Lew spojrzał najpierw groźnie na matkę, potem spuścił wzrok i położył nietknięte dziecko na ziemię. Następnie z wolna oddalił się.

Nawpół martwa kobieta z modlitwą na ustach przycisnęła do piersi uratowaną dziecinę.

6. *BRAT I SIOSTRA.*

*Siostrzyczko! na dwoje
Jabluszek rozkroję,
Połowę ci dam.*

*Znam twoje serduszek,
Lecz małe jabłuszek
Zjedz, braciszku, sam.*

*Nie, tego nie zrobię;
Ja muszę dać tobie,
Piękny byłby brat.*

*Cóżby powiedziano,
Gdyby tak wiedziano,
Żem sam jabłko zjadł.*

7. *Podarunek wnuka.*

Matka była słaba i wychodzić z domu nie mogła. Zawołała więc rano do siebie pięcioletniego synka i tak mu powiedziała: Zygmusiu, weź ten koszyk jabłek, idź i ofiaruj go babci, bo dziś są jej urodziny. Ładnie jej powinszuj, jak cię nauczyłam. To zaś jabłko zjedz sobie w drodze. Tak

mówiąc, dała mu śliczne czerwone jabłko. Zygmus pocałował matkę w rękę, wziął koszyk, włożył jabłko do kieszeni i poszedł do babuni.

— Babuniu, Babuniu! — zawołał wchodząc — winszuję ci z mamą serdecznie urodzin! I podając jej koszyk owoców, powiedział: To od mamy! Wyjmując zaś swoje jabłko z kieszeni, dodał: A to od Zygmutusa.

8. O sierotce Marysi.

Słońce wzbiło się wysoko, nadeszło południe. Bydło przygnał i napoił pasterz u studni, ludzie zeszli z pola. Jasio i Anusia wyglądali też mateczki z roboty. O wyglądali! bo im się bardzo jeść chciało. Przyszła mateczka, rozpała ogień, ugotowała kartofli, wysypała je na miskę, a na drugą nalala mleka.

— Chodźcie dzieci, siadźcie na ławie i jedzcie!

Zajadają dzieci smacznie, a tu za progiem staje sierotka Marysia. Matka jej już dawno nie gotuje i na obiad nie woła, bo umarła; ojciec gdzieś do miasta poszedł. Sierota aż zbladła z głodu, stoi cichutko za progiem, patrzy, jak drudzy jedzą, a ły jej już co tylko potoczyć się mają.

— A kto tam stoi u progu? — woła matka.

— Marysia sierotka!

— Pójdźże tu, Marysiu, siadaj na ławie, weź łyżkę i jedz z nami! Ustąp Jasiu, przysuń jej kartofle, bo ona sierotka.

Pamiętajcie, dzieci, pamiętajcie na całe życie, że Bóg kazał głodnego nakarmić.

9. Rodzina.

Mam ojca i matkę. Niewszystkie dzieci są tak szczęśliwe. Mój spóluczeń Tadzio nie ma ojca, Pawelkowi umarła niedawno matka, a Helenka jest zupełną sierotą, bo nie ma ani ojca, ani matki i mieszka w domu sierot. To też każdy dzień dziękuję Bogu, że mi utrzymał przy życiu rodziców, i modłę się o ich zdrowie i długie życie.

Ojciec i matka to są moi rodzice. Ojca nazywam tatą albo tatusiem, a matkę mamą albo matusią. Kocham ich bardzo, tem bardziej, że ciężko pracują, aby nam dzieciom było dobrze. Bo nas dzieci jest troje: braciszek Jerzyk, siostrzyczka Zośka i ja. Brat Jerzy jest starszy, siostra Zosia jest młodsza odemnie. Ja i Jerzy jesteśmy synami, a Zosia jest córką naszych rodziców.

Razem z nami mieszkają jeszcze dziadek i babcia. Są to rodzice mojej mamy. Są bardzo starzy i nie mogą już pracować. Nas wnuków i wnuczkę Zosię bardzo kochają. Odwdzięczamy się za ich miłość i pomagamy im, gdzie można.

Mamy jeszcze drugiego dziadka i drugą babcię. Są to rodzice mojego ojca. Mieszkają oni w drugiej wsi. Jeździmy tam do nich w święta. O, jak się cieszą, gdy do nich przyjedziemy. I my

się cieszymy, gdy możemy do nich wyjechać. Niekiedy oni przyjadą też do nas. Wtedy cała rodzina jest razem, i jesteśmy wszyscy bardzo szczęśliwi.

10. Krewni Tadzia.

Mój ojciec obchodził niedawno imieniny. W dniu tym zebrali się u nas wszyscy krewni.

Już na dzień przedtem przyjechali powozem ciocia Andzia i wujek Adam z dwojgiem swych dzieci, Franusiem i Antosią. Ciotka Andzia jest siostrą mojej mamy. Pomogę ci jutro przy gotowaniu obiadu dla gości, powiedziała ciotka do mamy; a wy dzieci idźcie się teraz bawić z Tadkiem. Ucieszyłem się bardzo, bo lubię mego ciotecznego brata Franusia i moją cioteczną siostrę Antosię. To też bawiliśmy się cały dzień w ogrodzie a potem poszliśmy do lasu.

W sam dzień imienin przyszedł Stryj Karol ze stryjenką. Stryj Karol — to brat mojego ojca, a stryjenka — to jego żona. Stryj przyniósł mi piękną książkę z obrazkami.

Przy obiedzie zapytała się mnie ciocia Andzia: Kiedyż pójdziesz do szkoły, mój duży siostrzeńcze Tadku? A ja zdziwiony odpowiedziałem: Przecież już chodzę do drugiej klasy. Ale pan nauczyciel nie nazywa mnie ani Tadkiem, ani Tadzkiem, lecz Tadeuszem. Tak się też podpisuję.

A na to rzekł stryj Karol: Jeżeli już chodzisz do drugiej klasy, mój bratanku, to podpisz się ładnie w książce, którą ci przyniosłem, by każdy wiedział, do kogo należy.

Wpisałem tedy swoje imię i nazwisko ładnie do książki, a krewni chwalili moje ładne pismo.

11. Służba.

Basia była córką zamożnego rolnika. Gdy ukończyła jedenaście lat, zawieźli ją rodzice do miasta i wpisali do wyższej szkoły. Zamieszkała w rodzinie znajomego kupca.

Basia była zdziwiona, że rodzina kupca miała tylko jedną służącą. Służąca ta sprzątała rano pokoje, potem chodziła na zakupno i gotowała obiad; jeden dzień w tygodniu prała bieliznę. Nazywano ją pokojówką.

Córka kupca Józia zapytywała raz Basi: A ile wy macie w domu służby? — Pięcioro, odpowiedziała Basia, parobka do koni, dwie służące, pastucha do krów i pasterkę do świń i gęsi. — A czy nie jest to za dużo? Co oni wszyscy robią? Gdzie mieszkają? — chciała wiedzieć Józia.

— Mieszkają wszyscy u nas. Roboty jest tyle, że nie mogą nadążyć, choć i rodzice i mój 15-letni brat Józef ciężko pracują. Wszyscy wstają o wschodzie słońca, i każdy zabiera się do swojej pracy. Parobek karmi i czyści konie w stajni, służące karmią i doją krowy w oborze, pasterka krząta się koło świń w chlewkach. Około szóstej rano pasterz wypędza bydło na pastwisko, pasterka świnię i gęsi, a przed siódmą parobek i służące już są przy polnej robocie.

Wszystkich służących razem nazywamy czeladzią. Czeladź nasza jest pracowita, grzeczna, po-

słuszna, zasiada wraz z nami do śniadania, obiadu i wieczerzy. My dzieci nie dokuczamy im nigdy, owszem wieczorami po robocie i w niedzielę po południu bawimy się z nimi wesoło. To też służba czuje się u nas tak dobrze, jakby należała do rodziny.

12. Zwierzęta pokojowe.

Pan nauczyciel zapytał się raz w szkole, które zwierzęta przebywają w mieszkaniu razem z ludźmi. Dzieci wyliczyły psa, kota i kanarka. Nauczyciel zapytał dalej, dlaczego je trzymamy w pokoju.

Dzieci opowiadały o kanarku i kocie. Jednak najbardziej podobala się dzieciom następująca powiastka Jasia o zmyślnym psie:

Pewien stary pan miał zwyczaj, że wieczorem przed snem długo czytywał w łóżku. Zmęczony zasypiał nieraz, nie zgasiwszy świecy, stojącej obok na stoliku.

A jest to bardzo niebezpiecznie i wiele razy wynikły z tego smutne wypadki.

Ów tedy staruszek budził się często ze strachem, przypominając sobie, że nie zgasił światła. Zawsze jednak świeca była zgaszona, choć drzwi na klucz zamykał. Zaciekawilo go to i postanowił uważać, kto i jak gasi światło.

Zostawił więc raz umyślnie świecę niezgaszoną, udał, że śpi, i patrzył, co będzie. Po kilku minutach zobaczył, jak jego ulubiony pies, który sypiał w kącie, wstał, wskoczył zgrabnie na krzesło i ostrożnie zgasił łapą świecę.

13. Przygoda Jasia z Burkiem.

Jaś: — *Werr! werr! Burek, huź, huź, brzydki,*
Myślisz, że ja boję się?

Mania: — *Ej, ej, Jasiu, porzuć zbytki,*
Jak się urwie, będzie źle!

Jaś: — *Oho! Łańcuch nie szpagacik,*
Ażeby go urwał w mig;
Jak się urwie, to mam bacik.
Werr! werr! Burek! zyg, zyg, zyg!
I wciąż Jasio drażni Burka:
To pręcikiem czochra włos,
To znów krzyczy, łaje, szturcha,
Aż go cegłą palnie w nos.
Burek wrzaśnie, łańcuch trzaśnie,
Cap zębami! Jasio w krzyk:
— Gwałtu! ratuj! aj! aj! aj!
I majteczki w kawałeczki,
I coś jeszcze . . .

Mania: — *Psa nie szczuj!*
Ot! masz, Jasiu: zyg, zyg, zyg!

14. Kotek bezdomny.

Dzień to był zimny,	A może tutaj
Śnieg spadł ogromny,	Krzywda go czeka?
Gdy przyszedł do nas	Może nie dadzą
Kotek bezdomny.	Ni kropli mleka?

Pod drzwiami drżący	Tak był wychudły,
Staął nieśmiało —	Tak wynędzniały,
Biedne kociątko	Oczka mu szare
Ludzi się bało.	Z lękiem patrzyły

Myśmy mu chętnie
Gościnę dali —
Małego gościa
Zlekka głaskali.

Na rękę usnął
Nam biedny kotek.

.

Ileż jest takich
Dzieci — sierotek!



15. DWA KOTKI.

*Były sobie dwa kotki.
Jeden ładny, lecz z szafek wyjadał łakotki.
Drugi brzydki, bury,
Ale płoszył szczury.
Powiedzcież mi, dziatki, którego wolicie?
— Burego! burego! — O, dobrze robicie.*

16. Chatka rodzinna.

Na drodze ze szkoły pogniwał się nieco Karolek na spółuczniã Jędrusia. Jędrus mówił z uśmiechem o jego rodzinnym domu, że jest stary, drewniany i że się dziś — jutro zwali. To Karolka mocno zabolãło, bo ta chata, choć na-
prawdã stara i pochylona, była sercu jego droga.

Ile tam Karolek doznał szczęścia, przyjemności! Zna w swojej chacie każdy kącik, pamięta dobrze, co się w nim kiedy zdarzyło. Gdy mu mamusia opowiada bajeczki, myśli sobie, że się to wszystko kiedyś u nich w domu działo.

Jego rodzinny dom jest mu naprawdę miłszy niż najpiękniejszy wielki, murowany pałac. Przecież to jego ojcowski dom! To jego chatka rodzinna!

Przed domem jest ogródek z kwiatami i warzywami. Karolek też tu ma swoją grządkę. Na niej sadi jabłunki i gruszczyki, uprawia bób, groch i fasolkę. Każdy dzień przychodzi popatrzeć, ile od wczoraj urosły. Obok chaty stoi stodoła, stajnia i obora. Dom i wszystkie te budynki zowią się zagrodą. Karolek często zagląda do konia i krowy i pieści się z nimi. Po podwórzu chodzą kury, gęsi i kaczki. Jest tu i budka dla psa.

Za zagrodą jest sad z drzewami owocowymi. I tu Karolek często biega między drzewami. Najczęściej widać go tam latem i jesienią. Wszak wszyscy wiecie, dlaczego.

O, swego domu rodzinnego nie zamieniłby Karolek za żaden inny na świecie.

17. NASZA SZKOŁA.

Mały Staś ukończył 6 lat. Po wakacjach pójdzie do szkoły. Bardzo się z tego cieszy. Pewnego dnia rzekł ojciec: Stasiu, jutro pójdziesz ze mną do wpisu a pojutrze pierwszy raz do szkoły.

Przy wpisie było dużo ojców i matek z dziećmi. Staś przypatrywał się im ciekawie, i uśmiechał się

do znajomych chłopców, z którymi będzie odtąd chodził do szkoły. Pan kierownik zapisał Stasia, pogłaskał go po głowie i powiedział: Widzę, że ci się u nas podoba. Przyjdź jutro, pójdziemy wszyscy do kościoła.

Na drugi dzień dzieci poszły ze szkoły parami do kościoła. Tam modliły się do Boga, by cały rok dobrze się uczyły. Po nabożeństwie wróciły dzieci do szkoły a po chwili do domu. Przed szkołą czekał Stasia ojciec, bo Staś nie trafiłby jeszcze sam.

Na trzeci dzień szedł Staś już sam do szkoły. Mama włożyła mu do torby tabliczkę, elementarz, piórnik i kawałek chleba z masłem. Torba była nowa, skórzana, a Staś miał z niej zawsze wielką radość. Dzisiaj jednak był smutny. Żał mu było odchodzić od mamusi i tatusia. Ojciec pomógł mu włożyć torbę na plecy i rzekł: No, teraz już idź, byś się nie spóźnił. Staś pocałował ojca i matkę w rękę i poszedł; było mu jednak tak smutno, że o mało się nie rozplakał.

Z początku szedł powoli. Po drodze do szkoły spotkał wiele dzieci, chłopców i dziewczęta. Wszyscy oni szli także do szkoły i zaczęli oglądać torbę Stasia, bo im się bardzo podobała. Staś poweselał i szedł już rażno z nimi dalej.

Do bramy szkolnej było kilka schodków. Staś, tak jak inni, oczyścił buciki z błota. Przez bramę weszli do szerokiej sieni a potem przez oszklone drzwi na długi korytarz. Na ścianach korytarza wisiało dużo obrazów. Chłopcy pokazali Stasiowi drzwi do klasy pierwszej. Staś przy-

stanął; ach, jak mu serduszko biło! Ale jakiś starszy chłopiec powiedział: Nie bój się i wejdź!

Staś wszedł do klasy. Nauczycielka wzięła go za rączkę i zaprowadziła do ławki. Ławek były trzy rzędy. Siedziały już w nich dzieci i przypatrywały się teraz Stasiowi.

Po chwili nauczycielka zapytała dzieci, jak się nazywają. Potem pokazała im piękny obraz i opowiedziała bajeczkę. Zaczęła się gimnastyka; dzieci wywijaly rękami i klaskały. Pełno było śmiechu i radości. To też Staś zadowolony i wesół szedł po nauce do domu i od tego dnia chętnie chodził do szkoły. Nawet gdy go matka zostawiła w domu z powodu choroby, Staś płakał i mówił, że musi iść do szkoły. Tak bardzo mu się szkoła spodobała.

18 Nieszczęśliwa książka.

Na szkolnej ławce leżały dwie książki. Jedna była czysta i cała, druga brudna i podarta.

— Biedna ty jesteś — mówiła czysta książka do sąsiadki — czy byłeś na wojnie, żeś taka zniszczona?

— Ach! — odpowiedziała z płaczem druga książka — jestem bardzo nieszczęśliwa. Kupiła mnie pewna pani dla swego syna, a ten, jak widzisz, nie ma litości nademną. Patrz tylko, co on ze mnie zrobił!

To mówiąc, chciała pokazać swoje rany sąsiadce. Wtem wiatr zawiał przez otwarte okno i porwał jej luźne kartki. Podarte, zasmarowane kartki fruwały po izbie, jak zeschłe listki w lesie.

Widząc to, zawołała sąsiadka nieszczęśliwej książki:

— A toś się dostała w dobre ręce! toż to jakiś niepocziwy chłopczysko! Mnie lepiej; mój Jaś szanuje mię; choć drugi rok mu służę, jestem jeszcze jakby nowa.

O! biednaż ja — jęczała potargana książka — któż teraz moje kartki pozbiera?

— Cóż ci pomoże zbieranie kartek, kiedy z nich już nic przeczytać nie można? Lepiej idź do tego pana, co tę książkę napisał, i do drukarza, który ją wydrukował, i pokaż, jak się niegrzeczny chłopiec z tobą obszedł.

— Usłuchnęła tej rady książka. Drukarnik wydrukował tę wiadomość o nieporządnym i niedbałym chłopcu na wstyd jemu, a na naukę innym dzieciom, i... oto ją macie!

— Pokażcie, dzieci, swoje książki, czy niema i tu tak nieszczęśliwej!

19. Unikaj kłótni.

— Jak to być może, że się nigdy nie sprzeczasz? — pytali koledzy Pawła, zdumiewał ich bowiem ciągły jego spokój.

— Mam na to bardzo prosty sposób.

— Jaki?

— Gdy widzę, że chcą się ze mną sprzeczać, a czuję, że się mogę rozgniewać, odchodzę.

Ta odpowiedź tak się podobała wszystkim, że inni w szkole starali się go naśladować.

dować. Znalazł się zawsze jeden rozumniejszy, który zachęcał przeciwników do rozejścia się i mówił:

— Odejdź, niechaj kłótnik sam z sobą się kłóci.

20. Oszczędzajcie, dzieci!

Na Nowy Rok otrzymała Jadzia od tatusia piękną skarbonkę na pieniądze. Skarbonka jest drewniana, pomalowana, na rogach ma żółte okucia. Tatuś wrzucił tam na początek srebrną złotówkę. Skarbonkę zamyka się kluczykiem, który chowa mamusia u siebie. U góry jest szczelinka do wkładania monet. Od tego czasu Jadzia wrzuca grosze do skarbonki, gdy otrzyma jakiś pieniądz od cioci, wujaszka lub dziadka. Często potrzeba ją, bo jest ciekawa, ile już też ma pieniędzy.

Co miesiąc otwiera Jadzia z mamusią skarbonkę, przelicza uzbierane pieniądze i wręcza je tatusiowi. Tatuś zanosí je do kasy oszczędności albo do banku i każe wpisać je do książeczki oszczędności, wystawionej na imię i nazwisko Jadzi. Książeczkę tę przechowuje mamusia. Jadzia ma już w banku wkładkę 16 zł 75 gr, i tyle zapisano w książeczce oszczędności. Z pieniędzy tych, mówi dziewczynka, wypłacę co miesiąc 1 zł 50 gr panu nauczycielowi na zamówienie dla mnie jakiegoś pisemka dla dzieci. Ojciec już się na to zgodził. Co tydzień otrzymam pocztą piękną gazetkę z bajeczkami, wierszykami i obrazkami.

Moja sąsiadka w szkole, Anusia, ma także skarbonkę, ale glinianą. Gdy już jest ciężka, oddaje ją panu nauczycielowi. Pan nauczyciel wyjmuje pieniądze i wkłada je do naszej szkolnej kasy oszczędności, a Anusi wpisuje kwotę do jej książeczki. I ona zamówi sobie, jak powiedziała, pisemko dla dzieci.

21. Kościółek.

*Kościółek otwarty, wstąpcie, lube dziatki,
Poproście o zdrowie dla ojca i matki!
Pomódlcie się grzecznie, westchnijcie do nieba,
Bo pomocy Bożej każdemu potrzeba.*

*Gdy dziatki pobożne, aniołek ich strzeże,
Nigdy ich do złego ochota nie bierze;
Bóg im błogosławi, w Jego łasce rosną
Miłe jak kwiateczki, które kwitną z wiosną.*

22. Kościółek w Koszęcinie.

W miasteczku Koszęcinie mieszkało bardzo, bardzo dawno trzech braci. Najmłodszy z nich handlował końmi i dlatego miał zawsze większą ilość koni na pastwisku pod lasem. Pewnego wieczora, gdy spędzał konie z pastwiska, spostrzegł z przestrachem, że brakuje pary najpiękniejszych koni. Długo ich szukał i wołał, ale koni nie było. Musieli je zabrać złodzieje cichaczem z pastwiska.

Gdy ze spuszczoną głową już może trzeci raz przechodził koło krzyża, który tam stał, spostrzegł naraz dzieciątko, które do niego przemówiło:



Co mi dasz, gdy ci pokażę twoje konie? A młodzieniec odpowiedział: Co zechcesz, to ci dam.

Dziecko mówiło dalej: Przrzecz mi, że temi końmi zwieziesz drzewo na budowę kościoła tu w tem miejscu. Młody człowiek przrzekł to chętnie. Wtedy pokazało mu dziecko zgubione konie, które pasły się spokojnie za krzakami; przedtem ich tam młodzieniec nie spostrzegł, chociaż szukał ich tam kilka razy.

Na drugi dzień opowiedział braciom i sąsiadom, co się stało, i zaraz zaczął zwozić drzewo. Jednak niektórzy sąsiedzi mówili: Gdzie tu na moczarach będziemy budowali kościół! Wybudujmy go na pagórku za stawem, stamtąd będzie daleki widok.

Młodzieniec dał się namówić i zawiózł drzewo na pagórek. Ale, o dziwo, rano drzewo leżało na

miejscu, na którem w ów wieczór pokazało się dziecko. Wtedy wszyscy poznali, że jest to wola Boża, aby kościół stanął na pastwisku przy lesie, i tam zbudowali kościół św. Trójcy.

Kościółek ten do dziś tam stoi, otoczony pięknymi dębami i lipami.

23. Cudowny dzwon we Frysztacie.

Niedaleko miasta Frysztatu na Śląsku znajduje się wioska, zwana Stare Miasto. Tu w dawnych czasach stało miasto Frysztat. W mieście tem był kościół, a w wieży jego wisiał dzwon o cudownym dźwięku. Gdy dzwon dzwonił, ludzie wychodzili z domów, przechodzień przystawał, a pracujący przerywali robotę, aby przysłuchiwać się jego dźwiękowi. Wszystkim się zdawało, że to gdzieś pod niebem organy grają.

Pewnego razu wybuchł we Frysztacie pożar, i całe miasto się spaliło. Spłonął też kościół wraz z wieżą, a dzwon spadł i wrył się w zgliszcza. Przykryły go gruzy i popioły, i powoli trawa zarosła to miejsce. Mieszkańcy bowiem opuścili miejsce, gdzie ich takie nieszczęście spotkało, i wybudowali nowe miasto na niedalekiem wzgórzu, tam, gdzie jeszcze dzisiaj stoi. Miejsce zaś, gdzie stało dawne miasto, przeznaczyli na pastwisko. Dzieciatki krów i świń pasło się tu codziennie. Świnie, jak zwykle, ryły w ziemi. I zdarzyło się, że duży wieprz wyrył głęboką dziurę i kłami uderzał raz po raz o coś twardego. Spostrzegł to pasterz, zbliżył się i ujrzał na dnie wyrytego dołu coś błyszczącego.

Wieczorem opowiedział o tem w mieście. Na drugi dzień poszło z nim kilku mieszczan i zaczęli kopać. Jakaż była ich radość, gdy przekonali się, że to cudowny dzwon odnaleźli. Wszyscy bowiem myśleli, że podczas pożaru się stopił. Po kilku dniach, gdy dzwon cały odkopano, w uroczystej procesji przywieźli go do Frysztatu i zawiesili na wieży. Odtąd znowu cudownie dzwonił, a wszystkim się zdawało, że głos jego jest jeszcze piękniejszy i głośniejszy niż dawniej. Słyszać go było aż w Cieszynie, odległym od Frysztatu o dwie mile.

W Cieszynie na zamku panowała wówczas księżna. Dźwięk cudownego dzwonu tak jej się podobał, że chciała go mieć w Cieszynie i ofiarowała zań wiele pieniędzy. Frysztacczanie żądali tyle talarów, ile potrzeba na wyłożenie drogi z Frysztatu do Cieszyna.

Księżna zgodziła się na to, dzwon przywieziono do Cieszyna i zawieszono na wieży. Lecz cóż za dziw! Na drugi dzień dzwonu w Cieszynie nie było. Sam w nocy wrócił do wieży we Frysztacie. Jeszcze raz go przewieziono do Cieszyna. Lecz gdy dzwon znowu wrócił do Frysztatu, poznała księżna, że taka jest wola Boża, i zostawiła dzwon we Frysztacie. Kazała jednak okna wieży od strony Cieszyna zamurować, by głos dzwonu nie napełniał żalem jej serca.

ZAGADKA.

**Bez ust, języka, kochana gromadko,
A wszystko nam powie i pięknie i gładko.**

24. KOŚCIÓŁ.

Czteroletni Adaś cieszył się bardzo, że w niedzielę pójdzie znowu po długim czasie do kościoła. Przez zimę nie mógł tam chodzić, bo droga była daleka i zła. Teraz nadeszła wiosna, ojciec kupił mu nowe ubranko, i Adaś będzie mógł znowu pójść do kościoła.

W niedzielę wstał Adaś wcześniej i pięknie umyty, uczesany i ubrany udał się ze starszym bratem Ludwikiem w drogę do kościoła. Kościół widzieli już zdaleka, bo miał wysoką wieżę. Na szczycie wieży błyszczał w słońcu krzyż. Ludwik opowiadał Adasiowi, że już był wysoko przy dzwonach w wieży, i że widział stamtąd bardzo, bardzo daleko. Po chwili usłyszeli dźwięk dzwonów, zwołujących ludzi na nabożeństwo. Zewsząd też widać było ludzi odświętnie ubranych, spieszących do domu Bożego.

Gdy przyszli ku kościołowi, wielki zegar na wieży wskazywał prawie godzinę dziesiątą i wybił ją o dzwony.

Adaś i Ludwiś, trzymając się za ręce, weszli do kościoła. Usłyszeli piękną muzykę. To organista grał na organach na chórze. Ludzie siedzieli w ławkach, mieli przed sobą otwarte kancjonały i śpiewali. Po chwili ksiądz wikary wyszedł po schodach wysoko na kazalnicę czyli ambonę. Ubrany był w szatę duchowną. Organy umilkły. Ksiądz przeczytał ewangelję, a potem mówił kazanie.

Po kazaniu zagrały znowu organy, a lud zaśpiewał. Ksiądz proboszcz wyszedł z zakrystji i przystąpił do ołtarza, by pełnić Ofiarę Bożą. Na ołtarzu w czasie nabożeństwa paliły się świece, stojące w pięknych świecznikach. Wyżej nad ołtarzem widać było wielki obraz. Świece paliły się też na wieloramiennych pająkach, zwisających z bardzo wysokiego sklepienia na sznurach.

Ściany ozdobione były pięknymi obrazami. Podczas nabożeństwa przechodził kościelny przez cały kościół i zbierał ofiary.

Po nabożeństwie ludzie zaczęli wychodzić. Ludwik i Adaś pozostali jeszcze w kościele, aby sobie go lepiej oglądnąć. I widzieli, jak ksiądz wyszedł z zakrystji i udał się do kamiennej chrzcielnicy, aby ochrzcić małe dzieciątko. Dziecię trzymał na rękach ojciec chrzestny, a obok stała matka chrzestna. Widzieli też, jak gasidłem kościelny świece gasił. Potem wyszli z kościoła i wrócili do domu.

25. Wieś rodzinna.

Niedaleko naszej zagrody stoją inne. W nich mieszkają nasi sąsiedzi. Często sąsiad lub sąsiadka przyjdzie do nas w odwiedziny. Niedawno u jednego z naszych sąsiadów było wesele. Ojciec i matka byli na niem, a nam dzieciom sąsiadka przyniosła kołaczy. Wszyscy nasi sąsiedzi są dobrzy i spokojni. Jeden wspomaga drugiego w kłopotcie lub nieszczęściu, albo śpieszy z dobrą radą.

Za zagrodami sąsiadów stoją jeszcze inne zagrody. Wszystkie razem tworzą wieś. W tej wiosce się urodziłem. Jest to moja wieś rodzinna. Lubię ją bardzo, bo tu jestem szczęśliwy. Tu żyją moi rodzice, moje rodzeństwo, tu jest tak pięknie jak nigdzie indziej.

Na wsi mieszkają wieśniacy czyli rolnicy. Wieśniacy uprawiają rolę i hodują zwierzęta i ptactwo domowe. Do uprawy roli potrzebują narzędzi rolniczych. Są to wóz, pług, brony, motyki, radła i inne. Wymień zwierzęta i ptaki domowe! Na dachu siedzi często bocian i klekoce. Wieśniak położył mu tam stare koło, aby sobie na niem zbudował gniazdo. Koło stodoły lata stado wróbli. Pod strzechami, w stajniach i stodołach budują jaskółki swe gniazdka.

We wsi mieszkają też rzemieślnicy. Kowal kuje w kuźni podkowy i podkuwa konie. Młynarz miele w młynie wieśniakom zboże. Cieśla buduje im i naprawia budynki. Co robi szewc, a co krawiec? Jest także we wsi sklep. Co tam kupujesz? Niekiedy do wsi przyjdzie też szklarz i druciarz. Szklarz niesie szkło na plecach i woła: Okna szklić! A druciarz idzie przez wieś i co chwila głośno krzyknie: Garnce drutować!

Najmilszym dla mnie domem we wsi po domu ojcowskim jest szkoła. Tam spędzam na nauce i zabawie ze spółuczniami miłe i wesołe chwile. W szkole mieszka pan kierownik i panowie nauczyciele. Najpiękniejszym budynkiem we wsi jest kościół. Obok kościoła stoi probostwo. Tam mieszkają księża.

26. Roztropny chłopek.

Pewnego razu skradziono gospodarzowi konia ze stajni. Biedny kmiotek udał się do sąsiedniego miasteczka, gdzie miał odbyć się targ na konie, aby kupić innego konia. Gdy przeglądał stojące na targowicy zwierzęta, krzyknął nagle z radości, poznał bowiem swego siwosza. Pobiegł też zaraz ku niemu, schwycił za uzdeczkę i zawołał w głos do ludzi: — Oto jest mój koń, którego przed kilku dniami skradziono.

— Mylicie się, gospodarzu, — rzekł na to handlarz, który sprzedawał tego konia, — ta szkapina już od roku należy do mnie i są świadkowie, że kupiłem ją na łońskim jarmarku; może ona podobną jest do waszego konia, ale nie jest waszą z pewnością.

Gdy to handlarz mówił, kmiotek zakrył prędko oczy koniowi i rzekł:

— No, kiedy ty tak dawno tego konia masz u siebie, powiedzże mi, na które oko jest ślepy.

Handlarz, który istotnie był złodziejem i nie miał czasu dobrze konia obejrzeć, zmieszał się na to zagadnięcie, lecz rzekł śmiało, że koń nie widzi na lewe oko!

— Aha! — zawołał kmiotek, odslaniając rękę, — kłamiesz, bo koń dobrze widzi na lewe oko.

— I cóż stąd? — odrzekł handlarz, — omyliłem się, chciałem powiedzieć, że na prawe oko; przecież dobrze znam mego konia.

Natenczas kmiotek odkrył i drugie oko konia i rzekł do otaczających go chłopków: — Patrzajcie gospodarze, oto jest dowód, że ten handlarz jest

złodziejem, bo koń na oba oczy dobrze widzi; umyślnie zadawałem mu te pytania, aby się wydało, że konia ukradł.

Wszyscy obecni zaczęli się śmiać z tego dowcipnego figla i chwalić roztropnego chłopka, poczem zaprowadzili handlarza na policję, która go uwięziła. Konia zaś zwrócono właścicielowi.



27. DRUCIARZ.

— Co to za człowiek siedzi tam przed domem? — pytała Kasia ciekawie starszej siostrzyczki Jadzi, gdy wracały z przechadzki.

— To stary druciarz, — odparła Jadzia. — Chodźmy i przypatrzmy się, jak ubogi zarabia na życie.

Pobiegły też zaraz do druciarza i zaczęły się przyglądać, jak naprawiał garnuszek; opasywał go drutem i mocno przyciągał obcęgami. Obok niego leżała na ziemi stara torba skórzana z narzędziami, kilka płyt lśniącej blachy i kilka zwojów cienkiego i grubego drutu.

Po chwili naprawa była gotowa; właśnie też wyszła matka, wzięła załatany garnek i rzekła: Dziękuję wam pięknie, dobry człowieku! Naczynie będzie znów jak nowe, długo mi jeszcze posłuży. I dała druciarzowi oprócz zapłaty podwieczorek.

A gdy już stary człowiek odszedł, powiedziała do córeczek: Widzicie, moje dzieci, że i ten biedny człowiek jest użyteczny.

28. KONIK I WRÓBELEK.

Stał koniczek sam przy żłobie
I owies zajadał sobie.
Wtem na żłobie konika
Tak wróbelek narzeka:

— Ziemia śniegiem pokryta,
Daj mi ziarnek z koryta. —
Na to konik odpowie
Zgłodniałemu wróblowi:

— Nachyl dzióbka do żłobu,
To wystarczy dla obu. —
Wreszcie przeszła i zima,
Lodu, śniegu już niema.

Aż tu muchy wy-
padły
I konika obsiadły.
Wtem wróbelek za-
witał,
Wszystkie muchy
wychwtał.



29. O niemądrym chłopie.

Jechał chłop na szkapie i dźwigał na sobie ciężki wór ze zbożem.

— Czy nie byłoby lepiej — rzekł do niego przechodzień — gdybyś ten ciężar złożył na konia?

— Nie chcę tego czynić — odpowie mu wieśniak — bo żałuję mojej szkapiny, która i mnie już dźwiga.

30. GĘSIAREK.

Jestem sobie gęsiareczek.
Przy Bożej pomocy
Pasę gęsi na ugorze
Od rana do nocy.

Choć mi tatuś buty dali,
Wolę biegać boso,
Bo mi łącniej dognać stadko,
Kiedy wpadnie w proso.



Biczysko mam wielkie w garści,
Wyrzynane pięknie,
Gdy niem huknę z całej siły,
Sam gąsior się zleknie.

Gdy niem huknę z całej siły,
To aż echo niesie,
A ludziska myślą sobie,
Że ktoś strzela w lesie.

31. ZUCH.

*Na ścieżynie rankiem rosa.
Pastieczka idzie bosa.
Tam, gdzie rowy, zagon wąski,
Ewcia pasie małe gąski.*

*Chodzi gąsek całe stadko,
Rozmawiają z sobą gładko.
— Gę-gę-gę-gę... tak gęgają,
Bo się wszystkie dobrze znają.*

*Mały Ćwik udaje zucha,
Na ścieżynie siadł i słucha.*

*— Gęsi moje, gąski moje,
Wcale ja się was nie boję!*

*— Gę-gę! gęsi zawołały.
Myk! i uciekł piesek mały.
O sęk sobie zdrapał skórę
I schował się w mysią dziurę.*

32. Mucha i wół.

Z ciężkim pługiem po robocie włókł się wół do domu. Na łbie jego, jak na tronie, siadła sobie mucha.

Jadą, jadą pomaleńku, aż tu komar leci.

— Gdzieżeś była? — pyta komar — skąd Pan Bóg prowadzi?

Na to mucha odpowiada, nos wznosząc do góry:

— Oraliśmy, panie bracie, z pola powracamy!

ZAGADKA.

Siedzą trzy kotki, a naprzeciwko każdego z nich siedzą dwa kotki; ile jest wszystkich kotków?

33. POSŁUSZNE KOŻŁĄTKO.

Była sobie biała kózka z bródką i dwoma rożkami. Miała ona śliczne, małeńkie koźlątko.

Koźlątko bardzo kochało mamusię.

Razu jednego było bardzo zimno,



więc kózka rzekła do koźlęcia: — Ja pójdę paść się do lasu, a ty zostaniesz w obórcie. Tylko pamiętaj, dobrze zasuń zasuwkę i nie otwieraj nikomu. Wilk tu się włóczy, mógłby cię zjeść.

Gdy wrócę i zastukam, to zapytaj: — Kto tam? A ja ci odpowiem tak: — To ja, twoja mama, otwórz mi, syneczku. Wtedy powiedz: — Pokaż, mamusiu, twoją nóżkę przez ten otworek. Gdy zobaczysz moją nóżkę, wtedy mnie wpuść.

Kiedy to kózka mówiła, wilk stał za ścianą i wszystko podsłuchiwał. Skoro tylko koza poszła do lasu, wilk przyszedł do obórki i stuka — puk, puk! — Kto tam?

— To ja, twoja mamusia — mówi wilk, jak może najczulszym głosem. A koźlątko powiada: — Przez ten otworek pierwszej pokaż mi twoją nóżkę.

Wciska wilk przez szparę wielką, burą łapę. Koźlątko aż zabeczało ze strachu i woła:

— Moja mamusia ma białą nóżkę z czarnemi kopytkami, a twoja łapa jest bura z okropnemi pazurami. Nie otworzę ci, nie!

Koźlątko wzięło widły i ukłuło wilka w łapę. Wilk zawył i uciekł do lasu.

Wieczorem przyszła kózka i dała koźlęciu dużo słodkiego mleka.

34. KRASNOLUDKI.

Zobaczyły dwa karzełki
Coś białego, okrągłego
I we dwójkę rozmyślają,
Co to może być takiego?
Takie białe, takie twarde,
A wygląda dosyć ładnie;
Ej, doprawdy, tej zagadki
Nikt na świecie nie odgadnie!
A więc sznurem grubym wielce,
Takim grubym jak niteczka,
Obwiązały przedmiot nowy,
Co ma całkiem kształt jajeczka,

I nuż ciągnąć do gaiku
Do ukrytej w liściach budki,
W swych czapeczkach purpurowych,
Dwa brodate krasnoludki.
Ten popycha, drugi ciągnie,
Ciężar srogi nad ich siły;
Namęczyły się biedactwa
I siarczyście się spociły.
Potem każdy młotek bierze
I w skorupkę krzepko bije:
Łupu! cupu! cupu! łupu!
Pół dnia trwała ta robota...
Wtem skorupka z hukiem pęka,
I, — o dziwy! straszne dziwy!
Ze skorupki rozwalonej
Wyszedł jakiś potwór żywy:
Od karzełków dwakroć większy
Dziób ma, oczy, żółte pierze.
Dalej w nogi, panie bracie,
Bo się do nas smok zabierze!
Spadły czapki krasnoludkom,
W biegu trzęsą im się brody,
Jeden huknął o pień główką,
Drugi po pas wpadł do wody.
A tymczasem małe kurczę,
Bo to ono wyszło z jajka,
Ładnie malcom się skłoniło...
I skończona cała bajka.

ZAGADKA.

Na drzewie siedziały trzy dzikie gołębie. Myśliwy
zastrzelił jednego. Ile gołębi zostało na drzewie?

35. Macierzyńska miłość bociana.

Pewnego razu wybuchł pożar we wsi. Spaliło się mnóstwo chat. O ratunku nie było można myśleć, bo od domków, słomą lub gontami krytych, niepodobna było odwrócić płomieni. Wieś nie miała straży pożarnej. Nieszczęśliwi wieśniacy wynosili tylko dzieci z domów, zostawiając na pastwę płomieni sprzęty, pościel, ubranie, a nieraz grosz oszczędzony i schowany.

Ogień dostał się także do stodoły, na której bocian miał gniazdo; siedziały w niem młode, które nie umiały jeszcze latać. Biedny ptak chciał koniecznie ratować swe dzieci. Chwytał je w dziób, próbował wzlecieć z nimi i przenieść je na inne miejsce, lecz daremnie. — Małe za ciężkie były na jego siły. Ze strachu klekotał przeraźliwie, latając wkoło.

Tymczasem płomienie zaczęły ogarniać szybko cały dach. Wkońcu zajęło się i gniazdo. — Cóż robi bocian? Rzuca się na gniazdo, zakrywa je skrzydłami i ginie razem z dziećmi.

Tak to nawet zwierzęta kochają swe młode.

36. SKOWRONEK.

Kiedy jeszcze Pan Jezus chodził po ziemi, szedł raz ze swymi uczniami koło pola, które orał wieśniak. Słońce grzało, woły z trudem ciągnęły pług, a wieśniak kroczył za nim zamyślony i smutny.

Pan Jezus przystąpił do niego i zapytał: Jak ci się powodzi? — A oracz, ocie-

rajac pot z czoła, westchnął i odpowiedział:
Oj źle, Panie! Ciężko pracować człowie-
kowi samemu.

Żal się zrobiło Panu Jezusowi kmiotka,
więc wziął w rękę grudkę ziemi, ścisnął
ją, spojrział w niebo i rzucił ją w górę.

Ale o dziwo! Grudka przemieniła się
w powietrzu w szaropiórego ptaszka, który
zatrzepotał skrzydełkami i począł śpiewać
nad głową rolnika.

Tak stworzył Pan Jezus skowronka,
który od tego czasu rozwesela rolnika przy
jego ciężkiej pracy.

37. JASKÓŁKA.

*Nasza czarna jaskółeczka
Przyleciała do gniazdeczka
Przez daleki kraj;*

*Bo w tem gniazdku się rodziła,
Bo tu jest jej strzecha miła,
Bo tu jest jej raj!*

*Nasza czarna jaskółeczko,
Nosisz piórka na gniazdeczko?
Dziatkom ścielisz je?*

*Ścielże sobie, ściel, niebogo,
Dzieci pójdą swoją drogą,
Nie ruszą go, nie!*



38. *Gniazdko.*

*Ukryte w gałązkach
Tarni czy kaliny
Jaś znalazł gniazdeczko
Maleńkiej ptaszyny.*

*Chociaż miał ochotę,
Nie ruszył go wcale,
Listkami napowrót
Zakrył doskonale.*

*Nie ruszył go wcale
I tylko czasami
W gaik kalinowy
Zachodził rankami.*

*Popatrzył, posłuchał,
Jak ptaszki śpiewały,
I radością ptaszków
Cieszył się dzień cały.*

ZAGADKA.

Skladam się z 3 liter, szukaj mnie na głowie zwierzęcia;
dodasz literę z początku, zobaczysz mnie pod drzwiami.

39. Wiejska muzyka.

W każdej wiosce jest kapela,
Co rolników rozwesela.
W niej to wszelakie zwierzęta
Mają swoje instrumenta:
Kaczka kwacze, kracze wrona,
A gęś gęga przestraszona.
Koza, cielę, owca beczy,
A na płocie sroka skrzeczy.
Wróbel ćwierka, dzięcioł puka,
Kukułeczka w lesie kuka.
Bocian w gnieździe swem klekoce,
Żaba w stawie tam rechoce.
Kogut pieje kukuryku,
Gołąb grucha w gołębniku.
Kura gdacze, zniósłszy jaje;
Indyk indyczęta łaje.
Na przemianę psy szczekają,
Konie rzeniem się witają,
Krówka w stajni porykuje,
A wół basem jej wtóruje.
By muzyce dodać siły,
By jej głosy się godziły,
Młocki na boisku stają,
Takt cepami wybijają.

40. W ogródku na wiosnę.

Ciepłe słońko zaczęło dogrzewać. — W ogródku zawrzała praca w całej pełni. Mama obcinała dzikie wino przy altance i przywiązywała młode łodygi. — Ogrodnik czyścił drzewa owocowe

z robactwa, obcinał niepotrzebne gałązki i przywiązywał róże do ozdobnych palików. Służąca rozrzucała nawóz, żeby rośliny miały lepsze pożywienie. Mocny chłop rył ziemię łopatą, i twardsze grudki rozbijał motyką, tatuś zaś oznaczał miejsce na grządki pod kwiaty i warzywa, między nimi robił wąskie chodniki, żeby mieć do nich dostęp.

Do ogródka weszły dzieci: Kazik, Zosia i Tadek. Nieśli grabie, łopaty i motyki. Zajęli się zaraz swemi małemi grządkami; ryli, kopali, grabili żywo, a ciepło im jak w lecie. Tatuś pouczył dzieci, jak mają podzielić i urządzić swe grządki, jak siać nasiona, by ich ptaszki nie wydziobały.

— Na moim zagonku zasadzę same kwiaty — mówi Zosia — bratki, goździki, stokrotki i białą konwalję.

— A ja na mojej grządce zasieję marchewkę, buraczki i kalarepkę — dodaje Kazik.

Tadek zaś wciąż spulchnia ziemię, bo chce mieć duże ogórki, sałatę i rzodkiewkę. Z boku na długich tykach będą rość fasola i groch.

Ojciec cieszył się, że dzieci tak pilnie pracowały. Wieczorem zabrały narzędzia i wróciły do domu.

Upływały dni, a dzieci nie zapomniały o swej pracy w ogródku. Szczęśliwe były, gdy ich kwiaty i jarzyny pięknie się rozwijały.

41. PSZCZÓŁKI.

Tato! Tato!

Cóż pszczotki?

Skąd się bierze miodek słodki

Do ciasteczek i do bułki?

Z ula.

Kto go zrobił?

Pszczółki.

Co to pszczołka? proszę Taty!

Pszczółka owad jest skrzydlaty

Tak jak mucha — tylko duży,

Co nam pilną pracą służy.

Pszczółka lubi kwiatki świeże,

A gdy słodycz z nich wybierze,

To do ula robić leci

Słodki miód dla grzecznych dzieci.

A co to ul?

Ul, kochanie,

To jest pszczołek pomieszkanie;

Lecz do ula dziatwa chyża

Niech się nigdy nie przybliża,

Bo jak pszczołka żądłem utnie,

To zaboli was okrutnie.

42. Pan doktor dzięcioł.

Stara grusza zachorowała. Zachorowała na liszki.

Wylęgły się liszki pod korą i dalej wyjadać drzewo.

Ptaki lubiły bardzo starą gruszę.

Więc radziły, co robić.

— Ano, skoro grusza chora, to trzeba wezwać doktora! — zagwizdał kos.

Inne ptaki na to: Tak, tak, tak!

Sprowadzono zatem doktora.

Był to dzięcioł.

Stuk, puk, stuk, puk! opukał dzięcioł gruszę.

— Panie doktorze, panie doktorze!

Czy pan na pewno gruszy pomoże? — pytają wszyscy.

— Jam doktor nie bylejaki, zaraz wytępię te liszki.

Od obiadu do obiadu nie będzie z nich ani śladu.

Zabrał się dzięcioł do leczenia chorej gruszy. Oстрыm dzióbem wykuwał dziurki w korze, ale tylko tam, gdzie były liszki.

Ptaki patrzyły na to i pytały:

— Doktorze, co z tego będzie?

Grusza pokłuta jest wszędzie!

— Co będzie, to zobaczycie.

Ja przecież nie lecę skrycie — odpowiada doktor.

Wsunął dzieciół język w dziurkę, wyciągnął liszkę i połknął odrazu. Potem wyciągnął drugą liszkę, potem trzecią. I dopóty dzieciół pukał, aż je wszystkie tam wyszukał.

Grusza prędko wyzdrowiała.

Ot i historyjka cała.

43. Poziomkowy krzaczek.

Poziomkowy krzaczek usychał na ziemi,
Spojrzała dziewczynka oczkami tkliwemi.

I zabrała krzaczek mały;

Rączką dołek wykopała,

Zasadziła i podlała

I codzień go odwiedzała.

Przyszła zima.

Listków niema;

Zasnął krzaczek

Nieboraczek.

A dziewczynka zapłakała,

O krzaczku nie zapomniała.

W kwietniu wionął wietrzyk miły,

Roślinki się przebudziły;

I rósł krzaczek wśród grządeczki,

Rozwijały się listeczki.

Raz dziewczynka przyszła zrana;

Co za rozkosz niesłychana!

Siedm jagódek, jak rubinki,

Wydał krzaczek dla dziewczynki.

44. Zwierzęta w polu.

Pan nauczyciel wyprowadził nas raz na przechadzkę. Szliśmy najprzód drogą, a potem skręciliśmy na miedzę między pola. Pan nauczyciel polecił nam, byśmy zachowali się spokojnie, a zobaczymy i usłyszymy dużo ciekawych rzeczy. Szliśmy cichutko, a że trawnik na miedzy był mięciuchny, nie było słyszać nawet naszych kroków.

Wtem z koniczyny wyszedł zając, stanął słupka i rozglądał się na wszystkie strony. Stał tak chwilę, i widzieliśmy go dobrze. Naraz spostrzegł nas, i jeden skok, a już był w życie. Oj, dobrze teraz zajączkowi na polu. Może się najeść różnych smakołyków, a i ukryć mu się łatwo.

Szliśmy dalej. Naraz ktoś zawołał: kret! kret! Istotnie kret wyszedł ze swej nory w ziemi i przechadzał się po miedzy. Chciał użyć trochę słoneczka. Na krzyk dzieci prędko schował się w ziemi. — Zobaczyliśmy jeszcze jeża i mysz polną. Wśród pszenicy pokazał nam pan nauczyciel wielkie dziury. Opowiedział nam, że dziury te robi chomik; wypchanego chomika widzieliśmy potem w szkole.

Dla wypoczynku położyliśmy się na miedzy. Niektórzy podparli rękami głowę i wpatrywali się w ziemię. Naraz ktoś zawołał: O, jaka tu piękna czerwona biedronka. Drugi zobaczył pająka o długich nogach, inni mrówki i wielką ilość innych owadów.

Pod wieczór, gdy wracaliśmy z przechadzki, usłyszeliśmy naraz w pobliskiej pszenicy głośno:

pod-po-lim! pod-po-lim! Jeden z chłopców już wiedział, że to przepiórka tak woła. Opowiedział też, że jest to ptak podobny do małej kury.

Gdy zbliżaliśmy się do wsi, słońce stało już nisko. W jego promieniach widać było tysiące latających muszek i komarów. Byliśmy z przechadzki bardzo zadowoleni i prosiliśmy pana nauczyciela, by urządził z nami kiedyś wycieczkę do lasu.

45. *Muchy samochwały.*

*U chomika w gospodzie
siedzą muchy przy miodzie,
siedzą, piją koleją
i z pajaków się śmieją.*

*Podparły się łapkami
nad pełnemi kuflami;
zagiął chomik żupana,
miód dolewa do dzbana.*

*— Żebyś kumo wiedziała,
com już sieci narwała,
com z pajaków nadrwiła,
tobyś ledwie wierzyła.*

*— Moja kumo jedyna,
czy mi pajak nowina?
Śmiech doprawdy mnie bierze.
Pajak także mi zwierzę!*

*— Żebyś kumo wiedziała,
trzem pająkom bezmała,
jak się dobrze zasadzę,
trzem pająkom poradzę.*

— *Moja kumo kochana,*
— *Chomik, dolej do dzbana!* —
Moja kumo jedyna,
czy mi pajak nowina?

Prawi jedna, to druga,
a tu z kąta coś mruga,
prawi czwarta i piąta,
a coś czai się z kąta.

Pajak ci to niecnota
nić tak długą namota!
Zdusił muchy przy miodzie
w chomikowej gospodzie.

46. Mieszkańcy strumyka.

Pewnego dnia matka posłała Hankę do sklepu po mąkę i cukier, a za resztę pozwoliła jej kupić sobie bułkę.

Hanka pobiegła do sklepu, zakupiła towary dla mamy i bułkę dla siebie.

Idzie więc Hanka, idzie do domu, ale jej mąka i cukier bardzo ciężyły, i musiała wypocząć nad brzegiem strumienia. Wypoczywała sobie i patrzyła w wodę, czy nie zobaczy znów tego dużego raka, który niekiedy chodzi po dnie z głową wtył zwróconą. Ogromne miał kleszcze! Brr, aż strach pomyśleć, jak on niemi potrafi ścisnąć! Ale zamiast niego zauważyła dużego srebrzystego pstrąga z czerwonymi plamkami, który plusk! jednym skokiem przesadził mały wodospad. A pod wodospadem w tym miejscu, gdzie to woda tak się pieni jak srebro, kręciły się dwie mniejsze

rybki. Hanka widziała dobrze, jak poruszały pletwami, ogonem i skrzelami i jak otwierały pyszczki. Naraz przypomniała sobie swoją bułkę. Bez namysłu wyjęła ją z kieszeni i dalejże rzucać do wody małe okruszynki. Wnet zbiegła się gromada malutkich płotek i wszystkie rybki poczęły wylawiać z wody okruszynki. Hankę tak to bawiło, że pokruszyła im całą bułkę. Potem poszła dalej. Lecz rybki długo jeszcze czekały, czy im znowu ktoś bułeczki nie przyniesie.

47. Dobrem za złe.

Gromada chłopców bawiła się nad brzegiem rzeki. Niedaleko nich siedział stary, garbaty, wszystkim we wsi dobrze znany Bartek i łowił sobie ryby. Swawolni



chłopcy popychali Bartka i uśmiechali się na widok jego garbu. Bartek znosił to cierpliwie i nic nie mówił.

Pan Bóg jednak, który wszystko widzi, ukarał swawolne dzieci. Najśmielszy z nich

Piotruś zbliżył się nieostrożnie tyłem do brzegu i wpadł do wody. Chłopcy przestraszyli się i uciekli.

Stary Bartek jednak wskoczył czem prędzej za tonącym chłopcem i wyratował go. Dzieci ucieszyły się bardzo, ale i zawstydzily. Od tego czasu szanowały Bartka i nigdy się już żadne z niego nie naśmiewało.

48. *Z rozmyśłem czy z masłem?*

Pani: Dlaczego ty płaczesz, chłopcze?

Chłopak: Bo mi Jurek chleb do rzeki rzucił...

Pani: Jakto! Z rozmyśłem?...

Chłopak: Nie — z masłem...

49. STAW.

Hen za wsią, za olszyną błyszczy coś jakby ogromne zwierciadło. Cóż to może być? Zygmus był ogromnie ciekawy i zamęczał mamę pytaniami: A co to jest staw, a skąd się tam wzięło tyle wody, a kiedy tam pójdziemy i czy wolno mu będzie pobiegać tuż nad wodą i przyjrzeć się rybom?

Mamusię aż głowa bolała od tych pytań, więc tatuś zaprowadził synka do stawu. Gdy zbliżyli się do niego, woda plusknęła kilka razy, jakby ktoś rzucał kamienie do wody. Były to żaby

które wygrzewały się w słońcu, a które na widok ludzi skoczyły do wody. Ojciec z Zygmutem zatrzymali się i stali cicho. Po chwili żaby odezwały się: kuma — kum! kuma — kum! a inne rechotały: rade, rade, rade, rade! Siedziały one ukryte w sitowiu i trzcinie, która tu w płytkiej wodzie bujnie rosła.

Po chwili ojciec z synem poszli dalej brzegiem i stanęli nad samą wodą. Słońce przeglądało się w wodzie, że aż oczy trzeba było mrużyć. Z jednej strony padał na wodę cień od wysokich drzew olszyny, co stały tuż nad wodą. Tam dalej nad brzegiem chyliły się wierzby. U brzegu przywiązana była do drzewa łódka. W tym miejscu wystawała od brzegu nad wodę długa deska. Po niej wchodziło się do łodzi.

— Może się przejeździemy łódką — powiedział tatuś — czy nie boisz się wody, Zygmutu?

— O nie, z tatusem niczego się nie boję! — zawołał chłopczyk.

Tatuś wszedł pierwszy do łódki, odwiązał ją od brzegu, a potem usadowił naprzeciw siebie na ławce Zygmuta. Chłopiec trochę się przestraszył, gdy łódka zaczęła się ruszać i kołysać, ale tatuś uśmiechnął się tylko i odepchnął łódkę wiosłem od brzegu. Zygmut wkrótce przyzwyczaił się do tego kołysania i zaczął się rozglądać wokoło, a wreszcie odważył się spojrzeć w wodę. Aż krzyknął ze zdziwienia, bo pełno było tam dużych ryb.



— To karpie — rzekł tatuś — takie same, jakie jadamy w wigilję Bożego Narodzenia.

Widzieli też dużego szczupaka. Wszystkie ryby przed nim uciekały. Objechali staw dokoła. Gdy przejeżdżali koło trzcin, wyleciało z nich z krzykiem kilka dzikich kaczek. Płynęli też koło strumyka, który wpadał do stawu, i koło młynówki, którą woda odpływała ze stawu na koło do pobliskiego młyna.

— Czas wracać do domu — rzekł tatuś, i zaczął wiosłować ku przystani. Zaraz też wysiedli, a kiedy łódka znów była przywiązana na swoim miejscu, poszli do domu.

Był już też wieczór. Po chwili z olszyny nad stawem usłyszeli cudny śpiew ptasi.

— To słowik śpiewa — rzekł ojciec. I długo jeszcze przysłuchiwali się jego pieśni.

50. SŁOWIK.

Słowik, ten najlepszy śpiewak między ptaszkami, dawniej nie nucił nigdy w nocy swych cudownych pieśni. Wstawał razem z innymi ptaszkami przed wschodem słońca, a śpiew jego budził drzemiące na krzakach bzu i liściach drzew chrabąszcze. Zasypiał słowik po zachodzie słońca najchętniej w krzakach dzikiego winna między pachnącymi kwiatami i spał mocno aż do rana.

Pewnej nocy wiosennej spał smacznie na gałązce dzikiego winna, która puszczała świeże wąsy. Gdy słowik zbudził się zrana, był cały mocno owinięty wąsami krzaka niby sznurkami, tak że nie mógł się uwolnić. Wyszwolecił się nareszcie po długich szamotaniach, a wtedy przysiągł, że nigdy w nocy nie będzie już sypiał, ale raczej śpiewał.

Wieczorem tego samego dnia usadowił się więc słowik na gałązce olszyny i zaczął śpiewać:

Nie zasnę nigdy, nie, nie, nie,
Nie zwiążą wąsy winna mnie.

Śpiewał tak co wieczór na różne tony, zmieniał piosnkę, upiększał melodję, aż wreszcie uznali go ludzie za najlepszego śpiewaka między ptakami.

51. Jak nauczyły się ptaszki śpiewać.

Gdy Pan Bóg świat stworzył, wyznaczył ptaszkom ich miejsce pobytu. I latały w lasach, ogrodach, nad wodami, na polach i koło domów.

Nadeszła miła wiosna. Zazieleniły się drzewa, okryła się ziemia roślinkami, zakwitły wonne kwiaty, a ciepłe słońko przygrzewało przyjemnie. Widząc to ptaszki,

cieszyły się bardzo i z wielkiej radości zaczęły śpiewać, jak umiały. Jeden drugiego starał się przekrzyczeć. Latały z drzewa na drzewo, gwizdały, krakały, ćwierkały przeraźliwie. Był to raczej wrzask niż śpiew!

Naraz usłyszały cudną muzykę. Zamilkły. Patrzą w górę i słuchają. A to w obłokach siedzą aniołowie i pięknie śpiewają. A jeden anioł zwrócił się do ptaszków, mówiąc: Przyszliśmy was nauczyć śpiewać!

Usiadły więc ptaszki na roli, na gałązkach drzew, na łąkach. Z początku słuchały. Po jakimś czasie próbowały naśladować nieśmiało głosy aniołków. Później zaś same zaczęły śpiewać krótkie melodie, a aniołowie im pomagali.

Nauka trwała długo. Jedne ptaszki cierpliwie siedziały i uczyły się pięknego śpiewu, drugie były dumne ze swego pięknego upierzenia i sądziły, że śpiew im niepotrzebny, a inne nie miały zdolności lub nie mogły długo wysiedzieć na miejscu. Wiele z nich odleciało, nie nauczyszyszy się śpiewać.

Te ptaszki, które pokochały śpiew, ćwiczyły się od rana do nocy. Aniołki śpiewały wciąż nowe melodie i pomagały pilnym ptaszkom. Tak nauczyły się one wyśpiewywać radość, smutek, zachwyty i wdzięczność.

My dziś z radością słuchamy piosnek i melodji ptaszków śpiewaków, których tak ładnie wyuczyli aniołkowie.

52. Sianokosy.

Raźno płynęła woda w wąskim rowie przez dużą łąkę. Wiatr poruszał lekko listeczkami dumnych dębów, stojących rzędem nad łąką. Obok dębów na miejscu bagnistym wznosiła się gęsta olszyna. Z pobliskiego lasu

dolatywał głos kukułki i przerywał ciszę, która w tym pogodnym i słonecznym dniu panowała.

A gospodarz chodził ze swym synkiem Wojtusiem koło tej pięknej łąki. Bo ona też naprawdę była piękna!

Wśród zielonej, gęstej trawy podnosiły swe główki w górę: żółte jaskry, czerwone firletki, bladoróżowe rzeżuchy, białe złocienie i wiele, wiele innych kwiatów. A nad kwiatami unosiły się roje pszczołek, motyli, komarów.

— Tato! Ile tu życia, ruchu, radości i brzęczenia!
— woła Wojtuś.

A ojciec oglądał bujnie rosnącą trawę na łące i rozmyślał o naznaczeniu dnia kośby.

— Jutro o świcie zabrzęczą kosy na łące — powiedział do Wojtusia.

Wcześniej rano przyszli kosiarze z naostrzonymi kosami. Po chwili dzwoniły kosy, chrzęst-brzęk, chrzęst-brzęk!

Na ziemi kładły się ścięte kwiaty i zielona trawa w pokosy.

Gdy słońce silniej zaczęło grzać, nadeszli robotnicy i rozrzucali grabiami grube pokosy. — Przez kilka dni zostawili rozrzuconą trawę na słońcu i wietrze. — Często przetrząsali ją grabiami i przewracali na drugą stronę. A gdy trawa częściowo wyschła, ułożyli ją w kopki.

Umarły cicho kwiatki i trawa, bo gorące słońce zabrało im resztę wilgoci. Owa wysuszona trawa — to siano.

Nadszedł dzień zwózki. Zajechały na łąkę drabiniaste wozy. Robotnicy jęli się szybko pracy; jedni grabili siano, drudzy podawali je widłami na wóz. W kilkunastu minutach naładowali furę. Silne konie ciągnęły ją z ochotą do stodoły, bo to siano przeznaczone dla nich na pokarm.

W krótkim czasie znikły wszystkie kopki siana z łąki. Cieszył się gospodarz, że dużo siana zwiózł do stodoły. Lecz łąka się smuciła, że utraciła swą piękną szatę. Czy na długo?

53. LAS.

Był sobie duży i stary las. Najstarsi ludzie we wsi nie pamiętali, kiedy drzewa były w nim młode. Jedne dęby były tak grube, że kilku ludzi razem nie zdołało ich objąć. Jodły i świerki były tak wysokie, że oko ledwie dosięgało wierzchołka. Sosny zaś miały tak grube konary, jak u nas w sadzie pnie drzew u ziemi. W dole rosły ich dzieci i tworzyły gęstwinę.



Las ten w ciągu długiego swojego życia wiele widział, dużo słyszał i dużo przecierpiał. Nie z jedną nawałnicą deszczową, nie z jedną zamiecią śnieżną staczał walkę. Od strasznych mrozów drzewa pękały i strzelały.

Ale dobry był ten las dla każdego i litościwy. Ubogim dostarczał suchych gałęzi, które zrzucał z drzew. W lecie darzył chłodem, dostarczał grzybów, a dzieciom borówek, malin i jeżyn. W gęstwinie jego kryły się sarny i jelenie, dawniej także niedźwiedzie i wilki. W ziemi zakopywał się lis i borsuk, i dziki królik. W dziuplach drzew swoich chował wiewiórki i gniazda ptasie. Na listkach i igłach chował owady i osłaniał je od deszczu. Na ziemi pozwolił mrówkom budować duże mrowiska

Las nigdy nie był spokojny. Prawie zawsze wierzchołki jego drzew pochylały się ku sobie, ruszały się gałęzie i tak szumiały, jakby opowiadały sobie dawne czasy.

O! dużo miały sobie do opowiadania.

54. *ECHO.*

*Kukuleczka kuka,
Dzieci sobie szuka.
Po zielonym lesie
Wietrzyk echo niesie:
Kuku, kuku!*

*Dzięciół w drzewo puka,
Gąsieniczek szuka.
Po tym gęstym lesie
Wietrzyk echo niesie:
Stuku, puku!*

55. *POD GRZYBKIEM.*

*Tam w lesie mieszkają
małe krasnoludki
i pod grzybkim w deszcz, ulewę
łatają swe butki.*

*A grzyb jak parasol
od deszczu ich chroni.
Deszcz rześisty pada, pada,
kropla kroplę goni.*

*Ten łąta sandałki,
ów treпки, buciki,
ten zeszywa, ów przykrawa,
a ten zdjął trzewiki.*

*Wtem na grzybek szyszka
upada z łoskotem,
Trzask-prask! grzybek się przewrócił,
i zmartwienie potem.*

*Zmyka biednych ludków
spłoszona gromada:
ten się potknął, ten przewrócił,
a ten w błoto pada.*

*Pod innym znów grzybkiem
zmoknięci siadają
i o szyszce utrapionej
długo rozprawiają.*

*A tu noc nadchodzi:
buty nieskończone!
— Ach, to wszystko przez te szyszki,
szyszki utrapione!*

56. Wygodny Miś.

Żyła sobie w lesie rodzina niedźwiedzi, dwoje starych i dwoje bliźniaków. Byłoby im całkiem dobrze, gdyby nie mały, ale leniwy i zarozumiały Miś. Gdy cała rodzina wychodziła do lasu na miód, bukiw, żołędzie lub na łowy, to mały Miś zostawał zawsze wtyle i nigdy nie



brał sam miodu z barci, ani żołędzi. Rodzice i siostra musieli go karmić jak jakiego bezsilnego staruszka.

Siostra Misia była silna, zwinna i umiała sobie doskonale radzić w życiu. Wiedziała też dobrze, że niedźwiedź ma różnych nieprzyjaciół, przed którymi trzeba się kryć do nory i mieć zawsze na baczności. To też gdy tylko usłyszała ujadanie psa lub strzały, zmykała; ale Miś nie śpieszył się nigdy, chociaż bardzo się bał — tak był leniwy.

— Ej, Misiu, będzie źle, złapie cię kiedyś człowiek i będziesz musiał tańczyć uwiązany na łańcuchu — straszyla i napominała matka.

— Nie boję się — mówił Miś. — Przed strzelcem się skryję, w pułapkę nie wpadnę, bo jestem za mądry; a choćbym wpadł, to jak mnie będą wydobywali z dołu, pogryzę i nastraszę ich tak, że uciekną.

— Oho, nie tacy ludzie bojaźliwi! A jak ich ty chcesz gryźć, kiedy żołędzi dobrze ugryźć nie potrafisz? — śmiała się siostra.

Razu pewnego, gdy cała rodzina poszła naprzód, a Miś został swoim zwyczajem wtyle, zobaczył na ziemi w gęstwinie sporo liści.

— Tam będzie dobrze i wygodnie — zamruczał — odpocznę sobie trochę.

Ale ledwie stąpił na owo miejsce, liście zapadły się, a z nimi niedźwiadek wpadł w głęboki dół. Wnet go też ludzie znaleźli, łapy i pysk związali, aby się nie mógł bronić, i zawieźli do miasta. Tam niedźwiadkowi wprawili pierścień żelazny w nozdrza, a potem uczyli go różnych sztuczek. Dziś prowadzi nieboraka niedźwiedziarz na łańcuchu i każe mu tańczyć przed gawiedzią. Zato

dostaje kawałek suchego chleba, lecz nigdy już nie skosztuje miodu.

Tak, ciężko, bardzo ciężko pokutuje Miś za swoje lenistwo.

57. Czarna Księżna.

W Cieszynie panowała dawno, dawno temu księżna, którą lud nazywał Czarną Księżną. Miała ona czarne włosy i czarne oczy i ubierała się zawsze w czarne szaty.

W wolnych chwilach wyjeżdżała Czarna Księżna do pobliskiej wsi Markłowic, gdzie posiadała zamek. W pobliżu tego zamku mieszkał pracowity i poczciwy wieśniak Grusza. Pewnego razu spostrzegł ów wieśniak, że mu jakiś zwierz niszczy zasiewy. Postanowił zgładzić szkodnika. W tym celu zaczął się w nocy w krzakach. Niedługo czekał: Oto z lasu wychodzi ogromny odyniec i kroczy prosto w ziemniaki wieśniaka. Grusza ostrożnie się ogląda, czy kto nie nadchodzi, bierze strzelbę i mierzy. Rozległ się huk i celny strzał na miejscu powalił dzika. Huk ten usłyszeli strzelcy w zamku. Przybiegli, związali Gruszę i zaprowadzili do zamku. Księżnie zaś nie omieszkali donieść, że złapali złodzieja zwierzyny, kłusownika. Nazajutrz miał się odbyć sąd nad wieśniakiem.

Gdy o nieszczęściu męża dowiedziała się żona Gruszy, pobięła czem prędeej do zamku, gdzie właśnie księżna sądziła jej męża. Wieśniaczka padła przed nią na kolana, prosząc:

— Daruj winę, miłościwa Pani, memu mężowi! Wypuść go na wolność, bo cóż ja sama pocznę z rolą, z dziećmi?

— Obliczcie, ile wart ten dzik! — rozkazała księżna strzelcom.

— Trzy dukaty, miłościwa Pani, — odrzekli.

Księżna pyta się dalej:

— A ile szkody wyrządzi rocznie odyniec?

Po krótkim namyśle odpowiedzieli strzelcy:

— Najmniej 100 dukatów.

Wtedy księżna sprawę tak roz sądziła:

— Ty, wieśniaku, zabiłeś zwierza, który do mnie należał; zapłacisz za niego 3 dukaty. Tobie zaś zwierz ten wyrządził szkodę conajmniej przez 10 lat, ofiaruję ci zato tysiąc dukatów jako wynagrodzenie tej szkody.

Strzelcy byli zdziwieni takim wyrokiem. Wieśniak zaś z żoną ze łzami w oczach dziękowali Czarnej Księżnie za sprawiedliwy wyrok i wszędzie opowiadali o jej pięknym czynie. Całe życie Czarnej Księżny było wypełnione dobrymi uczynkami.

58. Kmiotek i wiewiórka.

Pewien kmiotek w zimnej porze,
Rąbiąc sobie drzewo w borze,
Znalazł miejsce, gdzie wiewiórka
Miała skarb i w mrozy przechów.
Domem jej była w pniu dziurka,
Skarbem dwa garnce orzechów.
Radość się w kmiotku roznieca,
Topór w drzewo, torba z pleca,
Już orzechy brzęczą w rękę.
Aż na bliskim siedząc sęku,
Rzekła doń wiewiórka z trwogą:

— Ulituj się nad niebogą!

I zostaw biednej sierocie,

Co zebrała w czoła pocie;

Co chcesz wydrzeć, to jak fraszkę
Dasz swym dziatkom na igraszkę.

Im to dobra nie przysporzy,
A mnie biedną niezadługo
Z twej przyczyny głód zamorzy.

Weź połowę, zostaw drugą!

— Nic nie wezmę! ni orzeszka —

Dobry kmiotek jej odrzecz;

— Kto wie, jak to bieda piecze,

Czuć litości nie omieszka.

59. Krasnoludki i wiewiórka.

Pewnego razu chłopcy złapali w lesie wiewiórkę i zamknęli ją w klatce. Miała dużo miejsca, kółko do biegania, orzechy, wodę, ale jeść nie chciała. Wcisnęła się w kąt klatki i siedziała nieruchoma, z nastroszonym futerkiem i błyszczącymi oczkami, które świeciły niby dwie iskielki.

— To nic — mówili chłopcy — do jutra się oswoi, głód zmusi ją do jadła.

I wesoło pobiegli w pole, nie troszcząc się już o wiewiórkę i nawet nie myśląc o niej. Miała przecież wszystko, czego potrzebuje, niech się wyrzeknie lasu, i tu jej dobrze będzie.

Noc nadeszła, wszyscy poszli spać, w domu zgaszono światła, ale księżyc świecił tak jasno, że w pokoju, w którym babunia sypiała, możnaby szpilkę znaleźć na podłodze.

Właśnie w tym pokoju stała na oknie klatka, a wiewiórka siedziała wciąż w kącie, nie ruszając się z miejsca.

Babcia nie mogła zasnąć i patrzyła na nią. Okno było otwarte, i nagle wydało się babuni, że ktoś przez

okno wpadł do pokoju. Ktoś? Coś małego, jak ptaszek. Ale kiedy to coś stanęło przy klatce, babunia doskonale rozpoznała małego krasnoludka. Widać dobrze się znali, bo zaczęli oboje majstrować koło klatki, ażeby ją otworzyć. Nadaremnie, klatka była mocna, sztucznie zamknięta.

Próbowali jeszcze wyłamać druciki, ale i to niebardzo się udało, wiewiórka nie mogła wydostać się z niewoli.

Wtedy pisnęła z cicha, ale tak żałośnie, że babunia już chciała otworzyć jej klatkę, gdy krasnoludek rozśmiał się jakoś wesoło, podskoczył i zniknął z oczu.

A wiewiórka już nie wracała do kątka, tylko zdawała się czekać na powrót przyjaciela.

— Czyżby poszedł po pomoc? — myślała babunia i czekała też z ciekawością.

Po chwili znów coś mignęło w oknie, i stanął w nim krasnoludek. Lecz teraz szedł powoli, gramolił się widocznie po gałązkach wina i musiał być zmęczony, bo niósł coś ciężkiego. Zbliżył się do klatki i podał wiewiórcę dwa jakieś ciężarki, które przyniósł w obu małych rączkach.

Potem powtórnie zaśmiał się i zniknął.

Babunia nie poruszała się wcale, bo myślała, że jeszcze wróci, potem usnęła i dopiero zrana przypomniała sobie wszystko, co widziała. Z ciekawością zbliżyła się teraz do klatki i coś w niej zobaczyła? Dwie małe, półnagie wiewióreczki, które matka tuliła do siebie z miłością.

Kiedy opowiedziała chłopcom, co się stało, byli tak zawstydzeni, że odnieśli wiewiórkę wraz z dziećmi do lasu i przyrzekli babuni nigdy więcej nie więzić w klatce zwierząt ani ptaków.

60. KRASNOLUDEK I SOWA.

W dalekim lesie,	I rozgniewana
W głębokim borze	Czem prędzej leci:
Krasnolud stoi	— Proszę nie stukać,
Na muchomorze.	Spią moje dzieci!

Wiatr niesie borem	— O, pani sowo,
Odgłos daleki,	Cóż biedny zrobię?
Krasnolud wbija	Daszek popsuty
Ogromne ćwieki.	Naprawiam sobie.

Sowa się zżyma	Gdy się zawali
I pyta: — Kto tu	Domek malutki,
Narobił w lesie	Gdzież się podzieją
Tyle łomotu?	Te krasnoludki?

61. SOWY.

*Cicho się skradam,
Że nikt nie słyszy,
Kąt każdy badam,
Gdzie siedzą myszy . . .
Zdaje się, jedna pobiegła tu;
Hu! hu! — hu! hu!*

*Noc jasna taka,
Księżyc nie świeci,
Szukam robaka
Dla swoich dzieci . . .
Pewnie go znajdę w tem miejscu tu;
Hu! hu! — hu! hu!*

*Podfrunę cicho,
Nikt nie spostrzeże,
Lecz co za lichy? . . .
Jakieś tu zwierzę
Cichaczem ku mnie podchodzi tu;
Hu! hu! — hu! hu!*

*Słońce już wschodzi,
Noc się już ścię;
Ktoś krzyczy, chodzi . . .
Czasu niewiele,
Więc się czempredzej ukryję tu;
Hu! hu! — hu! hu!*

62. Wycieczka w góry.

— Czerwiec nadszedł, pogoda jest prześliczna, trzeba wybrać się w góry! — Tak powiedział pan nauczyciel. Więc nazajutrz rano wszystkie dzieci zebrały się



z pełnymi plecakami na dworcu kolejowym. Cekał już tam pan nauczyciel z biletami, wszyscy wsiedli do pociągu i po dwóch godzinach już byli wśród gór w pięknej, szerokiej dolinie. Środkiem z szumem płynął bystry potok; dno jego było miejscami skaliste jak i brzegi, miejscami zaś za-

sypane ogromnymi kamieniami i żwirem.

Z wszystkich stron widać było stoki gór, pokryte lasem to szpilkowym, to liściastym, to mieszanym. Wszę-

dzie pełno świeżej zieloności, a powietrze tak czyste i pachnące lasem, że aż miło oddychać!

Dzieci poszły dalej i weszły na niską górkę. Tam odpoczywały i przypatrywały się górom, które się ciągnęły stąd hen! daleko i coraz wyżej, i wyżej. Tam, gdzieś bardzo daleko widać było niebieskawe i sine szczyty, a w dole potok wydawał się teraz taki malutki! Widać też było niskie, drewniane domki górali w dolinie, a niektóre nawet wysoko pod szczytami. Biedniejsze chaty nie miały nawet kominów! Na pobliskiej górze pasło się duże stado owiec i kóz, których pilnowali górale i psy owczarskie. Długo bawiły się dzieci i dopiero po południu wróciły na dworzec kolejowy.

63. O Złotogłowcu.

Niedaleko Cieszyna stoi góra Godula. Latem dużo tam borówek i jagód wszelakich. Widać też na Goduli kamieniołomy, skąd wydobywają duże płyty kamienne i gdzie są ogromne jamy skalne.

Kiedyś przed setkami lat w takiej jaskini skalnej zamieszkał duży, duży wąż. Ponieważ nosił na głowie złotą koronę, zwano go Złotogłowcem.

Był to król węzów, żmij i jaszczurek. Obawiano się go powszechnie, i nikt swobodnie tędy nie przechodził, chociaż chodziły słuchy, że nie narusza spokoju nikogo, kto go nie zaczepia.

Nastało lato, gorąco dawało się wszystkim we znaki, odczuł je także mieszkaniec jaskini, wielki wąż ze złotą koroną. Codziennie czołgał się do pobliskiej rzeczulki i swoje długie cielsko zanurzał w wodzie. Tak codzień o tej samej porze powtarzał kąpiel, przytem kładł koronę nad brzegiem strumyka. Wiedzano o tem, ale nikt



nie pragnął zdobyć tej korony, każdy się bowiem bał o życie. Aż pewien chłopak zebrał się na odwagę i podpatrzył węża, jak w południe przed kąpielą położył koronę na dużym kamieniu. Postanowił ją zabrać.

Słońce dopiekało. Złotogłowiec śpieszył do rzeki. Złożył koronę i zsunął się w wodę. Wzdłuż rzeczki gęste olchy i wierzyby zakrywały brzegi. Przez nie nasz chłopak śmiało się zakrada, podchodzi ostrożnie i zręcznie usuwa krzaki z drogi. Już jest blisko kamienia, jeszcze krok, już wyciągnął rękę, już ma koronę i co tchu ucieka. Nie zmylił czujności węża.

Okropny świst rozległ się w powietrzu, a wdali echo niosło go po górach od doliny do doliny. Natychmiast biegną rozmaite płazy, tysiące jaszczurek, krocie żmij, zaskrońców i miliony żab, syk straszny rozdziera powietrze, wszystko zbiega się na pomoc królowi węzów i rozpoczyna pogoń za chłopcem. Jeszcze chwilę, a padnie ofiarą tych mściwych stworzeń. Widzi, że życiem wypadnie przypłacić, jeśli nie odda korony. Rzuca ją za siebie i

biegnie, co tylko sił starczy. Szczęśliwie ocalał. Wróciły jaszczurki, żaby, żmije, węże do swoich kryjówek, a król węzów zasiadł znowu z koroną na tronie w Goduli.

64. Dziecię w górze Spiżowej.

Niedaleko Katowic leży wieś Panewnik, obok niej wznosi się góra Spiżowa pokryta lasem. Do tego lasu poszła pewna matka z synkiem, aby zbierać gałązki. Było to we Wielki Czwartek. Gdy byli zajęci znoszeniem gałązek, zaświeciło im naraz jakieś jasne światło w oczy. Kobieta zdumiona podniosła głowę i spostrzegła, że góra Spiżowa otworzyła się, a wewnątrz leżało mnóstwo złota. Blask jego rozjaśniał ciemny las. Kobieta słyszała o tem, że góra otwiera się w Wielkim Tygodniu, lecz nigdy temu nie wierzyła. Teraz widziała sama ów cud. Złoto wabiło ją i jakby wołało. Wzięła więc dziecko i poszła z niem do wnętrza góry. Tu posadziła je i kazała mu czekać, dopóki nie wróci. Sama zaś zaczęła zbierać tyle złota, ile tylko mogła unieść. Miała już pełne kieszenie, pełen fartuch i pełne garście złota. Nagle spostrzegła, że góra zaczyna się zamykać. Przerażona wybiegła. Był też już czas najwyższy, gdyż zaledwie wyszła, góra zamknęła się z łoskotem.

Teraz była bogatą. Tyle złota, co ona, nikt nie miał we wsi. Lecz na Boga! gdzie się podział chłopiec? Zrozpaczona matka ogląda się na wszystkie strony, lecz dziecka nigdzie nie widzi. Wołała głośno, lecz nikt nie odpowiadał. Poznała teraz dopiero, że dziecko zostało wewnątrz góry. Rozpacz jej była straszna. Rzuciła się na ziemię, krzyczała i z żalu wyrывała sobie włosy, lecz wszystko daremnie. Dziecka nie było.

Cóż miała teraz z tego złota? Nie sprawiało jej ono już żadnej radości. Zabrała je i poszła z niem do księdza. Opowiedziała mu z płaczem o swoim nieszczęściu.

Ksiądz wysłuchał ją, a potem powiedział: Przechowajcie złoto i nie tykajcie go wcale. Módlcie się cały rok za dziecko. W następny Wielki Czwartek idźcie ze złotem do góry Śpiżowej. A gdy ona się otworzy, wejdźcie do środka, zostawcie tam złoto, weźcie wasze dziecko i wyjdźcie.

Nieszczęśliwa, lecz nieco pocieszona kobieta przechowała złoto na strychu, a codziennie chodziła do góry, płakała i modliła się. Nadszedł znowu Wielki Czwartek. Kobieta wzięła złoto i poszła do góry Śpiżowej. Tu modliła się i czekała, aż góra się otworzy. I otworzyła się istotnie. Kobieta wytrzęsła wszystko złoto do leżącego tu złota i zaraz pobiegła do miejsca, gdzie zostawiła dziecko. Siedziało ono tak, jak je posadziła. Pełna radości objęła je ramionami i całowała. Potem wybiegła z niem szybko z góry. Po chwili góra znowu się zamknęła. Teraz kobieta była znowu ubogą, lecz miała swe dziecko i była bardzo szczęśliwa.

65. LATO.

Ptaszyna nam śpiewa,
Słoneczko przygrzewa,
A na polu złote zboże
Dojrzewa, dojrzewa.

Od słońka promieni
Zboże się rumieni;
I już gryki kwiat drobniutki
Mieni się, czerwieni.

Słoneczko nam świeci,
W sierpach iskry nieci,
I piosenka polem, łąnem
W świat daleki leci.

Dzwoni piosnka, dzwoni,
A zboże się kloni
Przed tym sierpem, sierpem srebrnym,
Co go dzierżym w dłoni.

66. U P A Ł.

— Ach, mamó, jak gorąco! — narzekała Hania.

— Ja też nie mogę już wytrzymać, — uskarżał się Jurek.

— Szkaradny upał, niezdolne słońce! — zawołały dzieci razem.

— Nie mówcie tak, dzieci! — upomniwała matka. — Czy wiecie, co by się stało, gdyby słońce nie paliło tak mocno?

— Nie wiemy.

— Więc wam powiem, słuchajcie: Nie dojrzałyby wisienki, poziomki, gruszki, ani jabłka i inne owoce, ani zboże w polu i nie byłoby bułek, ani chleba, ani ciastek, ani pierników.

— A co byśmy jedli? — zapytała Hania.

— Nie byłoby nic do jedzenia! — odrzekła matka. — Musielibyśmy wszyscy poginać z głodu.

— Oj, to niech sobie lepiej słońko pali.
Niech żyje słońko! — zawołały dzieci i już
odtąd nigdy nie narzekały na upał.

67. DO KĄPIELI.

<i>Idziem, idziem do kąpieli</i>	<i>Woda, mydło niechaj żyje:</i>
<i>Wrócim czyści i weseli,</i>	<i>Umyjemy ręce, szyję;</i>
<i>Lewą, prawą —</i>	<i>Słońko grzeje,</i>
<i>Dalej żwawo</i>	<i>Wiatr nie wieje,</i>
<i>Idziem wszyscy wraz.</i>	<i>Do kąpieli czas.</i>

*Wstyd się kącać zimnej wody,
Musi zuchem być, kto młody,
Jak ta rybka,
Zwinna, szybka, —
Buch! do wody, buch!*

68. Opis żniw.

Nadchodzą żniwa. Żdźbła zbóż żółknieją, a ziarno twardnieje. U rolnika wychodzi w pole wszystko, co zdrowe i zdolne do pracy. Słońce doskwiera bardzo, ale wszyscy pracują ręczno i żwawo, a wesołe pieśni i śmiechy żniwiarzy rozlegają się po polach.

Narzędziami żniwiarzy są sierp, kosa i grabie. Sierpami żną żyto, aby się słoma nie zomierzyła. Inne zboża koszą kosą. Kosa do zboża ma jeszcze grabki, aby się zboże ładnie układało na roli. Zżęte lub skoszone zboże leży w pokosach równo ułożone. Gdy wyschnie z jednej strony, przewraca się je grabiami naodwrot. Suche już zboże wiążą żniwiarze w snopy i stawiają w mendle albo półkopki.

Gdy już zboże jest zupełnie suche, wyjeżdżają rolnicy w pole z drabiniastymi wozami i układają na nich wysoko snopy. Na furę kładą przyponę i przywiązują ją mocno na obu końcach. Gdy już ostatnia fura jedzie do stodoły, ozdabiają ją przystrojoną choinką, a za furą idą żniwiarze i niosą wieniec z kłosów. Wieniec ten oddają gospo-



darzowi, a ten wiesza go nad drzwiami w sieni. Potem ugascza żniwiarzy kołaczami i kawą, muzyka gra, a żniwiarze tańczą. Na dożynkach wszyscy się weselą.

Ale smutne i puste pozostało pole. Tylko gęsi zbierają wysypane ziarna, a krowy i kozy pasą się na ściernisku. Potem rolnik ściernisko podorywa, i wkrótce nikt nie pozna, że tu niedawno szumiąco śliczne zboże.

69. ŻNIWA.

*Przepióreczka się odzywa,
Idą, idą polem żniwa;
Brzęczą sierpy, brzęczą kosy,
Ciężkie ziarnem lecą kłosy.*

*A ode wsi słyszać śpiewki,
Śpieszą chłopcy, śpieszą dziewczki,
Niosą grabie, w pole dążą,
Za żeńcami snopy wiążą.*

*Co powiążą ciężkie snopy,
To składają je na kopy.
Dobra ziemia, łaska Boża,
Będzie chlebuś z tego zboża.*

70. DESZCZYK.

Mój deszczyku, mój kochany,
Nie padajże na te łany,
Nie padajże na te kopy,
Bo my dzisiaj zwozimy snopy.
Wio, koniki, wio!

Bokiem, bokiem, za obłokiem,
Idzie chmurka rażnym krokiem;
A my chmurkę wyprzedzimy,
Wszystkie snopki pozwozimy.
Wio, koniki, wio!

Spojrzę w górę, trzasnę z bata,
Już i chmurka się rozłata.
Jasne niebo nad głowami,
Kłęby pyłu za wozami.
Wio, koniki, wio!

ZAGADKA.

Żółty, słodki, w smaku miły,
Z kwiatków pszczołki go zrobiły.

71. BURZA.

Matka małego Stasia zachorowała i leżała w gorączce. Posłano po lekarza, który zapisał chorej lekarstwo i zalecił napoje owocowe. Staś, chcąc rozweselić serce kochanej matki, pobiegł do bliskiego boru na poziomki. Dzień był bardzo gorący. Stasiowi lał się pot z czoła, lecz on na to nie zważał. Szukał wciąż poziomek, ciesząc się, gdy między liściem ujrzał czerwoną jagódkę. Po dłuższem zbieraniu koszyk był pełny najpiękniejszych poziomek.

Szczęśliwy Staś spoglądał z uciechą na swój skarb i usiadł pod dębem, aby odpocząć. Po chwili usnął.

Tymczasem powstała burza, niebo się zachmurzyło i gromy huczały okropnie, rozlegając się po całym lesie. Nagle zerwał się wichur i zaczął padać ulewny deszcz wśród błyskawic i grzmotów. Staś przebudził się, ale był ogromnie strwożony. Siedział pod dębem i płakał. Wtem przypomniał sobie, że pan nauczyciel opowiadał, jak niebezpiecznie jest chronić się podczas burzy pod wysokie drzewa. Powstał więc prędko z miejsca, wziął koszyk i pośpieszył do domu. W tejże samej chwili piorun uderzył, a grzmot huknął straszliwie.

Przełęczony chłopczyk obejrzał się. Piorun zdruzgotał tenże sam dąb, pod którym on przed chwilą siedział.

Staś przemokły do nitki przybył wreszcie do domu, gdzie go rodzice oczekiwali z wielkim niepokojem. Chora matka pokrzepiła się poziomkami i przytuliła dobrego synka do serca.

Wkrótce burza przeszła. Do pokoju zaświeciło słońce. Przez okno zobaczyli na niebie śliczną tęczę. Olbrzymi łuk siedmiobarwny opierał się z jednej strony o las, z drugiej o łąki nad rzeką. Matka i Staś z uśmiechem szczęścia patrzyli na nią.

72. WDZIĘCZNOŚĆ.

Było to w duszny wieczór czerwcowy. Agata, żona gajowego, odpoczywała przed swą chatą, stojącą samotnie wśród lasu. U jej stóp bawiło się dwóch małych chłopców z kudłatym pudelkiem. Cisza była wielka, tylko las sosnowy szemrał chwilami.

Wtem ukazał się przed furtką jakiś podróżny.

— Dobry wieczór — pozdrowił głosem pokornym.
— Czy nie mógłbym tu u was przenocować? Jestem już bardzo zmęczony i głodny.

— Mój mąż wyszedł do lasu — odparła Agata — a w jego nieobecności nie mogę wpuszczać nikogo obcego do domu.

Podróżny westchnął boleśnie, zwiesił smutnie głowę i chciał już odejść.

Wtedy chłopcom żal się go zrobiło i poczęli matkę błagać:

— Niech go mama wpuści! Toć to taki biedak, ledwo na nogach stoi.

Po pewnem wahaniu otworzyła matka furtkę. Obcy wszedł chwiejnym krokiem na podwórze i usiadł na ławce pod chatą.

Agata przyniosła mu chleba i mleka, które w milczeniu spożył. Podziękowawszy za wieczerzę, poszedł do stodółki odpocząć na sianie.

Tymczasem niebo zachmurzyło się całkiem. Od czasu do czasu zajaśniały las, polana i gajówka w blasku dalekich błyskawic i dawał się słyszeć stłumiony odgłos grzmotu.

Matka ułożyła chłopców do snu w małej izdebce na poddaszu. Kiedy malcy zasnęli, zeszła na dół do kuchni, ażeby pogawędzić ze swoją służącą Hanką.

— Tak mi jakoś straszno — rzekła. — Mąż nie wraca, burza nadchodzi, a w stodółce znajduje się jakiś obcy wędrowiec, może to nawet niedobry człowiek.

Burza nadobrze się już rozpasła. Lunał deszcz zmieszany z gradem, las huczał jęklawie, a gromy były coraz potężniej.

Nagle stanął pokój w rażącym ogniu, a huk okropny wstrząsnął domem. Agata wraz ze służącą upadła oszatomiona na podłogę. W tej chwili buchnął ogień ze szczytu. Gajówka zapaliła się od pioruna.

Ze stodółki wypadł obcy podróżny. Wybił gwałtem zamknięte drzwi chaty, wyniósł śpiesznie omdlałe kobiety na podwórze, a potem skoczył na poddasze, skąd odzywały się przeraźliwe krzyki chłopców.

Agata, oblana strugą deszczu, oprzytomniała. Spojrzawszy na płonące poddasze, załamała z rozpaczyny ręce, wołając:

— Moje dzieci, moje biedne dzieci!

Wtem wybiegł z sieni podróżny cały osmalony i dymiący. Młodszego chłopca trzymał pod pachą, starszego ciągnął za sobą. A był już też najwyższy czas, gdyż właśnie cały dach runął w snopach iskier.

Z lasu wybiegło kilku robotników leśnych z gajowym na czele. Ujrawszy dzieci i żonę zdrową, padł gajowy na kolana, dziękując Bogu za ocalenie rodziny. Dowiedziawszy się zaś, w jaki sposób zostali uratowani, rzekł do synów:

— Wasze litościwe serce sprawiło to, iż życie i uszłście strasznej śmierci w płomieniach.

ZAGADKA.

Cztery rogi mam i pierzę,
Chociem nie ptak ani zwierzę.

73. Odlot jaskółek i innych ptaszków.

Było to w jesieni. Po obiedzie poszedł ojciec z dziećmi do ogródka. Chłopcy bawili się piłką, a Zosia przechadzała się z tatusiem po wielkim sadzie, podziwiając na drzewach rumiane jabłuszka, modre śliwki, złociste gruszcзки, brunatne orzechy.

A dzień był piękny. Nad drzewami, domami i stołami latało nadzwyczaj dużo jaskółek, a wszystkie szczebiotały wesolo.

— Skąd tak dużo jaskółek do nas przyleciało? — zapytała Zosia.

— Zwołują się i radzą, kiedy odlecieć do ciepłych krajów! — rzekł tatuś.

Na to przybiegli zaciekawieni chłopcy.

— A dlaczego one nas opuszczają? — pyta mały Janek.

— Słońce z każdym dniem słabiej grzeje — mówi ojciec — dnie są coraz krótsze, a zima powoli nadchodzi! Mają jaskółki piórka, nie musiałyby się obawiać zimy; lecz umarłyby z braku pokarmu, bo żywią się samymi muszkami. W jesieni wymierają prawie wszystkie owady, a te, które pozostają przy życiu, chowają się po różnych kryjówkach i śpią przez zimę. Muszą więc biedne jaskółki lecieć tam, gdzie mają dość pokarmu.

— A które ptaszki jeszcze odlecą od nas na zimę do ciepłych krajów? — pyta dalej Zosia.

— Już odleciały kukułki z lasów i słowiki z nad ruczajów. Odleci skowronek, który tak pięknie rolnikowi przy pracy wyśpiewywał; odlecą szpaki z ogrodów, zięby, drozdy i wiele, wiele innych ptaszków, naszych śpiewaków. Zamilknie śpiew w ogrodzie, na polu i w lesie.

Dzieci słuchały, jak ojciec opowiadał, i żał im było tych ptaszków, że nas muszą opuszczać.

Ojciec, widząc smutne twarzyczki dzieci, pocieszał je temi słowy:

— One znów wrócą do swoich gniazd i śpiewem swym będą rozweselać ludzi, skoro ciepła i wonna wiosna do nas zawita.

74. J E S I E Ń.

*Jesienią, jesienią sady się rumienią,
Czerwone jabłuszka pomiędzy zielenią.*

*Czerwone jabłuszka, złociste gruszeczeki
Świecą się jak gwiazdy pomiędzy listeczeki.
Pójdę ja się, pójdę pokłonić jabłoni,
Może mi jabłuszko w czapeczkę uрони!*

*Pójdę ja do gruszy, nastawię fartuszek,
Może w niego spadnie jaka śliczna gruszek!*

75. Dziecię i staruszek.

Niosło raz dziecię wody dzbanuszek,
Spotkał je w drodze siwy staruszek
I rzekł do niego z uprzejmą miną:
— Pozwól się napić, dziecińko!
Dziecina śpiesznie uchyla dzbanuszek
I napiła wodą staruszek.

Raz koło sadu szła ta dziecina,
Patrzy, z owocem drzewo się zgina;
Jakżeby rada zjeść kilka gruszek!
Aż tu wychodzi siwy staruszek,
Ową dziecinę dobrą poznaje
I najpiękniejszych gruszek jej daje.

76. W dzień Wszystkich Świętych.

— Jutro jest dzień Wszystkich Świętych, a pojutrze Dzień Zaduszny — mówi mama do dzieci. — Jutro po południu pójdziemy na cmentarz i pomodlimy się za dusze zmarłych.

— Będziemy się modlić za tatusia — szepce ze łzami mała Zosia.

— I grób ładnie ustroimy — mówi Janek.

— Z moich oszczędności zakupię świec i zapalę je na grobie — dodał Karolek.

— Dobrze, dobrze — mówi mama. — Przygotujcie wszystko, byśmy godnie uczcili pamięć drogiego ojca.

Zosia zerwała ostatnie kwiaty w ogródku, chłopcy przynieśli gałązek świerkowych z lasu i dzieci splotły duży, piękny wieniec. A wiły go z ochotą, bo chciały ustroić mogiłę drogiego tatusia. Z pozostałych gałązek i kwiatów zrobiły mały wianuszek.

— Położymy go na grobie nieznanej sierotki — powiedział Karolek.

W dzień Wszystkich Świętych pod wieczór rozległ się daleko głos dzwonu z cmentarza. Zewsząd śpieszyli tam ludzie. Na grobach było mnóstwo wieńców i kwiatów, wszędzie paliły się świece i lampy. Dookoła grobów stali ludzie. Jedni się modlili, drudzy płakali, a wszyscy rozmyślali o tych, których im śmierć zabrała.

Skromny krzyż stał nad mogiłą ojca. Zosia położyła wieniec na grobie, Karolek zapalił świece. I rozplakała się gromadka dzieci, bo ogarnął ją głęboki żal za tatusiem. Potem uklękli wszyscy i pomodlili się za niego.

Przechodził koło dzieci pan nauczyciel. Podobała mu się ich pobożność. Stał i modlił się z nimi, bo

i on znał ich ojca. Po modlitwie odezwał się do nich w te słowa:

— Tak, drogie dzieci! Wasz tatuś zginął od kuli wrogów! On bronił śląskiej ziemi! On kochał naszą Ojczyznę — Polskę.

Gdy odszedł, pochyliły dzieci swe główki i modliły się jeszcze chwilę rzewnie za duszę tatusia.

77. W zimie.

Słońce wysyłało swe blade promienie na ziemię. Mróz wymalował na szybach okien śliczne, delikatne kwiatki i gałązki. Ściekająca z dachu woda zamarzała w długie sople lodu, a małe kropelki na drzewach zamieniły się w szron.

— Przygotujcie saneczki i narty — mówił ojciec do dzieci. — Pójdziemy na pagórek.

Dzieci ucieszyły się niezmiernie i po chwili już ciągnęły za sobą lekkie sanki, a ojciec dźwigał długie narty.

Leciutkie, białe płateczki śniegu cicho i powoli spadały na ziemię. Rowy, pola, drzewa, krzaki okrył biały kożuch. Stawy i rzeki pokryła gruba tafla lodu.

— Oj! to ci ślizgawka nielada! — wołają chłopcy.

Na skrócie drogi jest głęboki dół. Nie poznasz go teraz, bo całkiem zasypany śniegiem. Trochę dalej ciągnie się długa zaspą śnieżną, prawdziwa góra!

Ale ot i pagórek! Co tu krzyku, hałasu, wołania, uciechy! Saneczkują się lub jeżdżą na nartach dzieci i starsi. Sanki jak strzała pędzą zgóry wdół! Zabawa się nie kończy. Jedni przychodzą, drudzy odchodzą.

Ojciec ostrzegł dzieci, by ostrożnie jeździły, bo o niebezpieśliwy wypadek nietrudno. Karolkowi przywiązał do nóg narty. I rozpoczęła się zabawa, a ojciec przypatrywał.

się, jak dzieci raz za razem ciągnęły sanki pod górę i zjeżdżały wdół, a młody narciarz, podpierając się dwoma kijkami, uczył się jazdy na nartach.

Szybko mijał czas przyjemnej zabawy. Gdy wieczór się zbliżył, wróciły dzieci zadowolone do domu.

78. Zimowa zabawa.

Dzieci wysypały się ze szkoły na przerwę południową jak pszczoły z ula. Franek, który zawsze chłopcom przewodzi, woła:

— Śnieg dziś miękki! Ulepmy z niego bałwana. Czy zgoda?

— Zgoda! — krzyczy gromada i pędzi za Frankiem na pobliskie pole.

Co tchu znoszą kupy śniegu, aż ręce im poczerwieniały, nosy posiniały, tylko oczy śmieją się do figlów. Chłopcy zrobili najpierw dwie grube nogi, na nich położyli kadłub szeroki, a na wierzchu jego postawili ogromną głowę, osadzoną na krótkiej szyi. Kadłubowi przyprawili dwie ręce. W prawej trzyma bałwan kij długi, gruby, sękaty, którym się niby podpira.

Ale jegomość jeszcze nie jest gotów. Brakuje mu jeszcze oczu, uszu, nosa, ust i włosów. To już sprawa Tomka. Rada wnet się znalazła. Dwa kawałki węgla wcisnął z przodu głowy i były śliczne czarne oczy. Pod oczami przyklepił ze śniegu nos ogromny jak ogórek, a w nim wydłubał dwie porządne dziurki. Pod nosem wykroił

zręcznie nożem szeroki otwór, wstawił u góry i u dołu po pięć kamyków i były usta z zębami. Ignas zaś, największy figlarz w klasie, nałamał drobnych kółków i powtykał w głowę jak włosy. Bałwan gotowy! Co to żartów i śmiechu wkolo niego!

Wtem nauczyciel zawołał: Do klasy!

Gdy dzieci wracały ze szkoły, oglądały z zadowoleniem dzieło chłopców. Następnej nocy był mróz siarczysty. Człowiek śnieżny zmarzł, aż się świecił i stwardniał. Długo potem stał przy szkole i ostatni z zimą poszedł.

79. Z I M A.

Hu! hu! ha!

Nasza zima zła!

Szczypie w nosy, szczypie w uszy,
Mroźnym śniegiem w oczy prószy,
Wicher w polu gra!

Nasza zima zła.

Hu! hu! ha!

Nasza zima zła!

Płachta na niej długa, biała,
W rękę gałąź oszroniała,
A na plecach drwa...
Nasza zima zła.

Hu! hu! ha!

Nasza zima zła!

A my się jej nie boimy,

Dalej śnieżkiem w plecy zimy,

Niech pamiątkę ma

Nasza zima zła!

80. O świętym Mikołaju.

Co roku przychodzi do was, dziecieczki, święty Mikołaj i przynosi wam podarunki.

Święty Mikołaj był biskupem. W tem mieście, gdzie żył, było dużo dobrych, ale bardzo ubogich dzieci. Święty Mikołaj litował się nad niemi. Dlatego kupował wiele ciepłych ubrań, czapek, rękawiczek, bucików i sukienek. Wieczorem chodził potem od domu do domu, gdzie były dzieci, i przekonywał się, czy się umieją modlić. Następnie wyjmował z kosza, który nosił za nim służący, podarunki i obdarowywał dzieci. W drugim koszu nosił służący łakocie jak pierniki, cukierki, orzechy i figi. Każde dziecko otrzymywało także z tego kosza podarunek.

Gdy św. Mikołaj umarł, wziął go Pan Bóg do nieba. Jednak co roku dnia 6. grudnia zsyła go na ziemię, by obdarowywał dobre dzieci.

81. WIGILJA.

Mała choinka w lesie czuła się bardzo osamotnioną. Wieczorem wszystkie drzewa były najczęściej śpiące i choinka nie miała się z kim bawić.

Pewnego wieczoru przybiegły dwa zajęczki i zaczęły bawić się z choinką. Ileż miały one zabawnych pomysłów: kryły się tu i tam, gonily po polance i dokazywały.

Wreszcie siadły przy choince i jeden z zajęczków odezwał się:

— Słuchaj, choineczko, musisz być coraz ładniejsza, gdyż już niedługo Gwiazdka.

— Gwiazdka? co to jest Gwiazdka? — zapytała choinka.

— Och, to ty nie wiesz tego? a wiesz, co to jest Boże Narodzenie? To jest wtedy ...

Ale w tej chwili nadszedł jakiś człowiek i oba małe zajęczki spłoszyły się i uciekły co prędzej. Człowiek rozglądał się po lesie. Szukał drzewka, by dzieciom swoim przystroić drzewko wigilijne.

— Ho! ho! jaka prześliczna choinka! — zawołał naraz. — Taka choineczka jest mi potrzebna.

I zabrał choinkę do małego domku i tam ją ustroił. Na wierzchołku umieścił złotą gwiazdkę, na gałązkach zawiesił osrebrzone orzechy, czerwone jabłuszka, słodkie pierniki i postawił świeczki. Pod choinką położył lalki, bębenek, książeczki, cukierki.

Jakże szczęśliwe były dzieci z małego, białego domku, kiedy zobaczyły to wszystko! Jakże szczęśliwą była choinka!

Nawet podczas wieczerzy wigilijnej, gdy na drzewku zapalono świeczki, dzieci niewiele jadły

i ciągle spoglądały na choinkę. I chociaż matka przynosiła na stół tak smaczne potrawy, jak słodką kapustę, kluski z makiem, gotowane suszone śliwki z grochem i grysik z masłem, to dzieci więcej myślały o choince i podarunkach niż o jedzeniu. To też zaraz po wieczerzy wróciły pod drzewko, obsiadły je i zaśpiewały kilka kolęd. I dopiero gdy świeczki na choince pogasły, udały się szczęśliwe na spoczynek.

82. SZYBK A.

Jest taka bajeczka o szybce:

Była w oknie szybka. Przyszedł mróz i chciał się dostać do pokoju, ale szybka go nie wpuściła. W pokoju spały dzieci, mógłby je pozabijać. Rozgniewany mróz tak zamroził szybkę, że nic przez nią widać nie było.

Potem przyszedł wicher. I ten chciał się dostać do pokoju, ale szybka nie pozwala. Uderzył o nią, pchał, jęczał, rzucał piaskiem, zesłał wreszcie deszcz, który bił w szybkę z całej siły.

Ale ona nie ustąpiła.

Nadszedł ranek i słońce zaświeciło. Szybka z radością wpuściła światło do pokoju, a dzieci obudziły się zdrowe i wesołe.

A szybka uśmiechnęła się do słońca, bo jej było przyjemnie, że spełniła swój obowiązek.

Z A G A D K A.

Ciecz zdrowa, biała i słodka,
Dobra dla dzieci, dobra dla kotka.

83. Zagadki i łamigłówki.

Było to w zimie wieczorem. Dzieci bawiły się w domu to obrazkami, to klockami, to lalkami. Potem najstarszy z nich Bogusław zaczął zadawać im zagadki:

— Które zwierzę — pyta Bogusław — jest najmocniejsze?

Dzieci wymieniały najrozmaitsze zwierzęta, ale Bogusław mówił: nie i nie.

Wtem odzywa się Dominik:

— Ślimak jest najmocniejszy, bo on cały swój dom na sobie nosi.

— Która krowa — pyta Bogusław dalej — tak głośno ryczała, że ją wszyscy ludzie słyszeli?

Krowa w arce Noego — woła Feliks — bo tam byli wszyscy ludzie.

Potem dzieci zadawały inne jeszcze zagadki, które wy może sami zgadniecie. Natęście tylko nieco wasze główki.

Który rok ma 24 godzin?

Kiedy zając śpi najtwardziej?

Co jest starsze, jęczmień czy żyto?

Co rośnie korzeniem do góry?

Kto się narodził, a nie umarł?

Co się stanie z krukiem, kiedy mu 10 lat minęło?

Który koń jednako widzi, tak wtył jak i wprzód?

Co na dachu nigdy nie zgnije?

Jak daleko jest z ziemi do nieba?

Pod jakim drzewem siedzi zając, gdy deszcz pada?

Nie urodzony, a ochrzczony, nie zawinił, a powieszony.

Nie ma ognia, nic nie warzy, gdy jej dotkniesz, to cię sparzy.

Cała czarna, ma trzy nóżki; jakie imię tej czar-nuszki?

Ile jest końskich uszu w całej Polsce?

Jakie raki mają liście?

Co hałaśliwiej szczeka niż pies?

84. MIASTO.

— Jutro po południu, gdy wrócicie ze szkoły, pojedziecie ze mną do miasta — powiedział pewnego razu ojciec do Bronka i Julci.

Dzieci bardzo się ucieszyły, bo już oddawna chciały zobaczyć miasto.

Na drugi dzień po obiedzie poszli na stację kolejową i pojechali pociągiem do miasta. Tu wysiedli i wyszli z dworca na ulicę. Stanęli, by zaczekać na tramwaj, a dzieci rozglądały się z ciekawością. Środkiem ulicy jeden za drugim pędzą samochody, wozy, dorożki i tramwaje. Dokoła panuje taki hałas, że Bronek nic nie słyszy, co Julcia do niego mówi. Tramwaje dzwonią, samochody trąbią i wozy turkocą.

Po obu stronach ulicy koło domów szli ludzie, a było ich tyle jak na wsi przed kościołem po nabożeństwie. Ci idą w jedną stronę, tamci w drugą, a każdy się śpieszy.

Wtem nadjechał tramwaj i stanął obok nich. Wsiedli do niego. Tramwaj jedzie prędko i często dzwoni. Jadą długo jedną, drugą i trzecią ulicą. Wszędzie tak samo na ulicach pełno ludzi. Po obu stronach ulic widać domy i domy, pałace, kościoły, szkoły i pomniki. Jechali też przez piękny park. Tam po szerokich alejach, ocienionych drzewami, biegały wesoło dzieci i przechadzali się mieszkańcy, panie i panowie, studenci i żołnierze. Dużo też ludzi wypoczywało po pracy na licznych ławkach. Co pewien czas tramwaj stawał, ludzie wysiadali i wsiadali.

Wreszcie tramwaj zajechał na wielki prostokątny plac, również otoczony wysokimi domami. A gdy stanął, wysiedli. Ojciec powiedział: To jest rynek.

Rozglądnęli się. I tu pełno ludzi. W jednej części rynku przekupki rozłożyły na stołach tyle owoców i jarzyn, że Bronek i Julcia jeszcze w życiu tyle nie widzieli. W domach dokoła rynku były różne sklepy: z ubraniami, obuwiem, zabawkami. W wielkich oknach wystawowych widać było tyle tak pięknych rzeczy, że dzieci nie mogły ochłonąć ze zdziwienia. Nad sklepami wisiały wielkie napisy. Ojciec wstąpił z dziećmi do kilku sklepów i zakupił, co do domu było potrzebne. Wstąpili też do księgarni, a potem do apteki. Gdy już wszystko zakupili, weszli do cukierni na herbatę i ciastka. Dzieci nigdy nawet nie widziały tyle ciastek.

Nadchodził wieczór. Nagle błysnęły setki świateł w wysokich latarniach i stało się widno jak w dzień. Także nad sklepami i w oknach wystawowych zapłonęły światła. Miasto stało się jeszcze piękniejsze niż w dzień.

To też z żalem poszły dzieci z ojcem na dworzec, by wrócić do domu.

85. DWIE ZŁOTÓWKI.

Dał pan chłopcu jeden złoty na kawę ziarnistą, a drugi na masło. W godzinę wraca chłopiec i nic nie przynosi.

— Czemuś nie kupił tego, com kazał?
— zapytał pan.

— Bo mi się pomieszały złotówki — odpowiedział chłopiec — i nie wiem teraz, która jest na kawę, a która na masło.



86. *Góral kupcem.*

*Kupcie, panie, kupcie kosze,
Faski, skrzynie, pięknie proszę!
Tu miarka do zboża, kwarta
I solniczka kupna warta.*

*Tu tarczki, niecki, cebrzyki,
Konewki, beczki, stoliki,
Cepy, grabie i łopaty,
Miotły, szczypy i te baty.*

*Radzę te miseczki, łyżki,
Łapki na łakome myszki.
Tu znów stolki i podnóżki,
Na nici i igły puszki.*

*Konik do zabawy, wózek,
Będzie na nim jeździł Józek.
Oto wanna nowa świeci
Do kąpania małych dzieci.*

*Proszę zajrzeć tu w ten wór:
To jałowiec prosto z gór.
Warząchwie, z drzewa kołatki,
Jakie lubią małe dziatki.*

*Towar to wcale niedrogi,
Niechże zarobi ubogi.
Dzieci me na chleb czekają
I odzieży też nie mają.*

87. Kominiarczyk

Chociem brzydki, chociem czarny,
Alem chłopak grzeczny,
Nie dbam wcale o wdzięk marny,
Dość, żem pożyteczny.
Coby to na świecie było,
Gdyby nas nie stało?
Dla tej myśli wszystko miło,
Ruszym w komin śmiało.

Mam miotelkę, drut i gracę,
Tem czyszczę kominy,
Ale też i tam zaglądam,
Gdzie brudne dzieciны.
Rączki, buzie poobmiatam,
Strzeżcie się, dziateczki,
Pilnie w domu myjcie buzie,
Rączki i szyjeczki.

Ponad berłą, ponad trony
Stan mój wyniesiony,
Bo choć na królewskim gmachu,
Ja siedzę na dachu.

88. Fabryka.

Gdy Bronek i Julcia z ojcem dojeżdżali pociągiem do miasta, i pokazały się pierwsze domy, widzieli wysokie jak wieże, okrągłe, czerwone kominy, z których wychodziły chmury czarnego dymu. Bronek zapytał, co to za kominy. Ojciec odpowiedział, że to są kominy fabryczne.

Za chwilę pociąg zwolnił bieg i przejeżdżał tuż koło jakiejś fabryki. Widzieli długi, biały dom piętrowy o dużych oknach z małemi szybkami. Dużo szyb było stłuczonych. Przez te okna słychać było z fabryki stuk młotów, zgrzyt pilników i turkot maszyn. Widać też było liczne obracające się koła. Z dachu fabryki wystawała żelazna rura, a z niej buchała raz po raz biała para. Cały duży plac dokoła fabryki otoczony był parkanem. Na podwórzu leżało mnóstwo starego żelaza, kół i kotłów. Po podwórzu chodzili robotnicy zasmoleni, z czarnymi od pracy rękami.

Nad bramą umieszczony był dużemi literami napis: Fabryka maszyn.

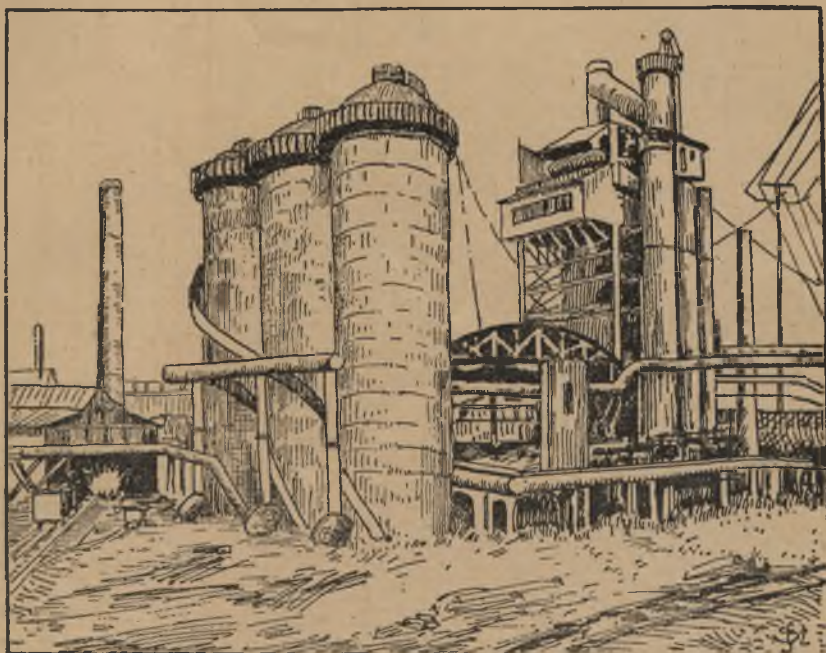
Ojciec powiedział dzieciom, że są też fabryki cukru, sukna, cementu, skór, szkła i wiele innych.

Wtem usłyszeli z fabryki przeraźliwy świst. Brama fabryki otworzyła się i wyszli z niej tłumnie robotnicy po skończonej pracy.

89. HUTA ŻELAZA.

Bronek i Julcia wracali wieczorem do domu pociągiem. Za oknami wagonu było już zupełnie ciemno i Bronek, który wyglądał przez okno, nie mógł już nic zobaczyć.

Naraz jednak spostrzegł ogromną czerwoną łunę. Przycisnął głowę do szyby, by lepiej widzieć. Widział długi dom, cały oszklony tak, że dobrze widać było



w środku czerwoną łunę. Jakiś ogień lał się z dużego pieca jak woda.

Naprzeciw Bronka siedział jakiś pan. Ten spostrzegł jego ciekawość i rzekł:

— To jest huta żelaza. Ten ogień, który się tam leje, to jest stopione żelazo. Ono płynie do form zrobionych we wilgotnym piasku i tam twardnieje. Będą z niego żelazne koła, garnce, piecyki i inne rzeczy. A tu dalej obok huty żelaza widzisz też budynek wysoki jakby jaka wieża. O, teraz bucha z niego u góry ogień. To jest wysoki piec. W nim wytapiają z rudy żelazo. To żelazo płynie potem do huty żelaza. Ja tu jestem majstrem w tej hucie żelaza. Przyjedź kiedy, to ci wszystko dokładnie pokażę.

Bronek podziękował panu majstrowi i obiecał przyjechać. Wtem pociąg stanął i ten pan wysiadł. Lecz Bronek i Julcia musieli jeszcze dalej jechać.

90. Robotnicy.

Słońce świeciło jasno, dzień był chłodny, lecz piękny; dzieci wybiegły z parku i szły wesoło, rozmawiając i niebardzo zważając na przechodniów. Kilka kroków za nimi szedł ojciec Jasia.

Wtem kilku robotników wyszło z bocznej ulicy, aby przejść na przeciwną stronę. Musieli pracować w fabryce żelaza, bo twarze mieli czarne, ręce i ubranie pokryte pyłem węgla i jakimś tłustym kopciem. Byli czerni bardzo zajęci i rozmawiali między sobą.

A Jaś, jakby ich nie widział, idzie naprzód i wpada prosto na jednego z nich tak nieuważnie, że byłby się przewrócił, gdyby go robotnik nie pochwycił za rękę. Przeszli, a Janek został z czarną, dużą plamą na rękawie jasnego paltocika i z czarno zasmolonym przodem. Zaczzerwienił się z gniewu i z gotową skargą odwrócił się do ojca. Ale ojciec patrzył tak dziwnie, poważnie, że Janek się zawstydził i sam nie wiedział już, kto zawinił.

— Cóż mi powiesz, mój chłopcze? — spytał wreszcie ojciec. — Przez nieuważę potrąciłeś ludzi, wracających od ciężkiej pracy, nie przeprosiłeś ich za to, i zdaje mi się, że jeszcze miałeś ochotę się skarżyć.

Janek milczał, naprawdę teraz zawstydzony.

— Pamiętaj, moje dziecko. — mówił dalej ojciec — gdy ujrysz robotnika, wracającego z pracy, ustąp mu zawsze z drogi. Takie uszanowanie ciężko pracującym należy się od dzieci, które jeszcze nic nie robią i nikomu nie płacą niczem za to wszystko, co otrzymują od ludzi.

91. Opowiadanie dziadka o Skarbniku.

W pewnej kopalni na Górnym Śląsku pracował młody górnik. Choć pracował pilnie i w pocie czoła od wczesnego ranka do późnej nocy, niewiele wydobywał węgla i wskutek tego mało zarabiał, a jego rodzina cierpiała biedę i często nie było w domu kawałka chleba.

Jednego razu kopał już długo w ziemi i nie mógł natrafić na węgiel. Zmęczony pracą zaczął tracić siły i musiał zaprzestać kopania. Zrozpaczony zawołał głośno: Skarbniku, dopomóż mi, bo inaczej muszę zginać wraz z całą moją rodziną!

Wtem zjawił się mały człowieczek z długą, białą brodą i rzekł:

— Jeżeli będziesz mi codziennie przynosił bułkę, to wskażę ci, gdzie znajduje się dobry węgiel, i dużo będziesz zarabiał. O spotkaniu ze mną niewolno ci nikomu opowiadać, a jeślibyś nie dotrzymał słowa, umowa nasza zerwana.

Górnik zgodził się, a Skarbnik dał mu trzy różgi, które wskazywały miejsca, gdzie było dużo dobrego węgla i wydobyć go nie sprawiało trudności.

Młody górnik nosił od tego czasu Skarbnikowi codziennie jedną bułkę. Różgi wskazywały mu dobry węgiel, i zarabiał dużo pieniędzy.

Inni górnicy dziwili się, że młody górnik tak dużo zarabia, i pytali, kto mu wskazuje węgiel.

Początkowo górnik nie chciał mówić o tem, jednak raz podczas rozmowy zapomniał o umowie ze Skarbnikiem i opowiedział kolegom o szczęściu, jakie go spotkało.

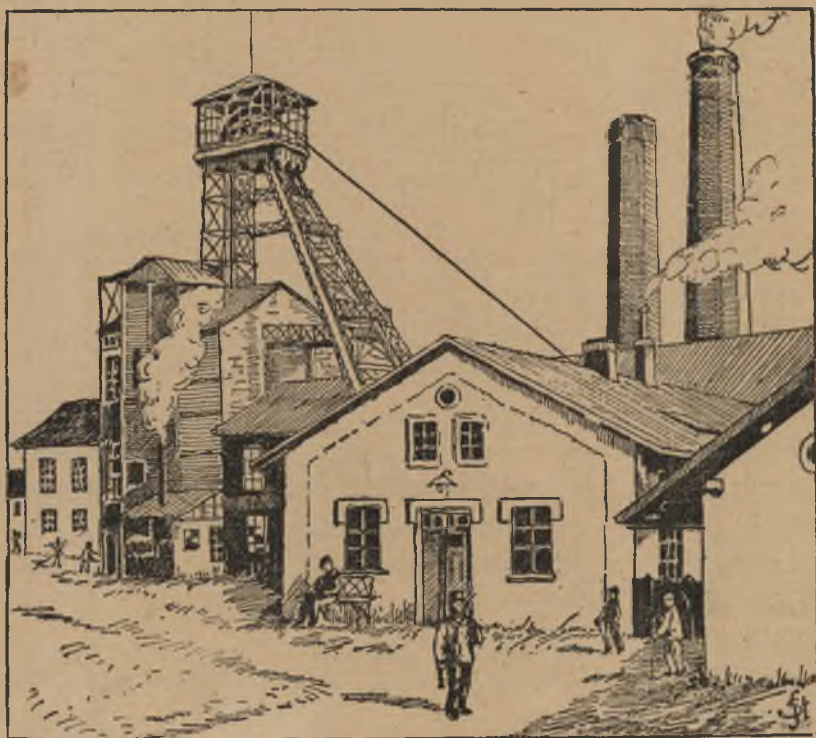
Gdy następnego dnia górnik przyszedł na miejsce swej pracy, zobaczył wszystkie bułki, które przedtem przynosił Skarbnikowi. Ledwie górnik rozpoczął pracę, spadł duży odłam węgla i zabił go.

Tak karze Skarbnik za złamanie danego słowa i zdradę tajemnicy.

92. Podanie o starej kopalni.

Niedaleko Tarnowskich Gór na Śląsku był stary szyb, w którym już dawno nie kopano rudy. Ludzie opowiadali sobie, że nocą biega koło otworu szybu jakiś koń, który każdego zabija, kto się do niego zbliży.

Pewien górnik przechodził raz wieczorem koło tego szybu, a że był zmęczony, usiadł sobie na drzewie obok leżącym. Naraz usłyszał w szybie jakieś głosy. Gdy zaczął lepiej nasłuchiwać, zrozumiał, że kłócą się tam dwaj mężczyźni. Górnik już wstał, by zbliżyć się do szybu i popatrzeć wdół, kto się tam kłóci, gdy nagle stanęło przed nim jakieś dziecko i zagrodziło mu drogę. Gdy się lepiej przypatrzył, poznał, że to było jego własne



dziecko, które zostawił w domu. Dziecko zaś powiedziało: Ojcie, chodź prędko do domu! I zniknęło.

Górnik przeląkł się bardzo i pośpieszył do domu. Gdy wstąpił do izdebki, żona jego gotowała wieczerzę, dziecko zaś spokojnie spało. Górnik opowiedział żonie, co się stało. Żona zdziwiła się bardzo, gdyż dziecko spało już długo i nigdzie nie wychodziło.

Na drugi dzień opowiadali ludzie, że wieczorem zawalił się stary szyb. A stało się to w tym samym czasie, gdy górnik od szybu biegł do domu. Cała rodzina górnika uklękała i podziękowała Bogu i świętej Barbarze, Patronce górników, za wyratowanie ojca od śmierci.



93. Poczta.

Listonosz zadzwonił do mieszkania, a gdy mu Władek otworzył, podał list i odszedł szybko. Musi on się śpieszyć, bo ma jeszcze pełną torbę listów i gazet do rozniesienia. Dzieci oglądały z ciekawością kopertę, znaczek naklejony na niej u góry i adres napisany na kopercie. Lecz listu nie otworzyły. Ojciec zawsze mawia, że nie wolno nikomu otwierać obcych listów.

Gdy ojciec wrócił, otworzył list; był od babci. Na końcu tak babcia pisała:

Tęsknię bardzo za Wami. Przyjdźcie do mnie zaraz, gdy wakacje się rozpoczną. Czereśnie już dojrzały. Pośylam Wam ich koszyk. Napiszcie pocztówkę, kiedy przyjedziecie.

Dzieci ucieszyły się bardzo z tego zaproszenia babci, ale Władek rzekł:

— A dlaczego listonosz nie przyniósł koszyka z czereśniami? Może on je zjadł.

Ojciec uśmiechnął się i powiedział:

— Na poczcie nie może nic zginąć. Listonosz nie roznosi koszyków i paczek, bo nie mógłby paczek i listów unieść. Czekajcie, za chwilę przyjdzie koszyk.

I istotnie po chwili stanął przed domem czerwony wóz pocztowy, a sługa wyjął z wozu koszyk, wstąpił do domu i oddał go. Czereśnie były słodkie i bardzo wszystkim smakowały.

Ojciec napisał zaraz do babci pocztówkę, że przyjadą w następną niedzielę, i wyszedł, aby ją wrzucić do skrzynki pocztowej. Skrzynka ta była na sąsiednim domu. Władek poszedł z ojcem i bardzo się cieszył, że ojciec pozwolił mu wrzucić pocztówkę do skrzynki.

94. Dzieci jadą koleją.

Nadeszła niedziela. Ucieszyły się dzieci, że pojadą w odwiedzinę do babci.

Dzień przed odjazdem przygotowała mamusia wszystko do podróży. Potrzebne rzeczy zapakowała do walizki. Zosia zrobiła ładny bukiet dla babuni. Wcześniej rano wyjechała cała rodzina powozem na dworzec. Dzieci oglądały budynek stacyjny, a tatuś kupił przy kasie bilety i dobrze je schował.

Pokazał im też naczelnika stacji w czerwonej czapce ze złotym paskiem. Zaprowadził je potem do poczekalni.

Gdy pociąg nadjechał, odźwierny otworzył drzwi na peron, a ludzie pośpieszyli do wagonów i zajęli miejsca na ławkach.

Dzieci stały przy oknie, a tatuś wskazywał im tory kolejowe. Na torach stały liczne wagony i dwa parowozy.

Z przeciwnej strony nadjechał pociąg towarowy. Ogromna lokomotywa ciągnęła za sobą bardzo wiele wagonów naładowanych węglem.



Gdy przejechał pociąg towarowy, urzędnik kolejowy dał znak do odjazdu. Konduktorzy pozamykali drzwi wagonów i zawołali: gotów! Pociąg osobowy ruszył. Za chwilę wszedł do wagonu konduktor, ojciec dał dzieciom ich bilety, a te podały je konduktorowi. Konduktor każdy bilet oglądął i zrobił w nim dwie dziurki kleszczykami. Pociąg jechał szybko i zatrzymywał się krótko na stacjach.

Po dwu godzinach dojechali rodzice z dziećmi na stację, gdzie było trzeba wysiadać. Na dworcu oczekiwała

ich babcia. Ile to było radości i uciechy przy powitaniu! Najbardziej ucieszył babcię piękny bukiet kwiatów, który wręczyła jej wnuczka.

Dzieci długo opowiadały o pierwszej swej podróży koleją.

95. PIĘCIU BRACI.

Znamy wszyscy pięciu braci. Pierwszy nazywa się wielki, nie jest jednak największy, lecz najgrubszy. Drugi nazywa się wskazujący, bo wszystkiego musi się dotknąć. Trzeci średni, jest właśnie największy. Czwarty serdeczny pomaga drugim i lubi się stroić w złote pierścienie. Piąty nazywa się mały, jest też najmniejszy, najmniej pracuje.

Żyją zawsze razem, nigdy się nie rozłączając. Kto są ci bracia?

96. Głód najlepszą przyprawą.

— *Ta polewka dzisiaj tak niesmaczna, że jej jeść nie można* — *rzekła mała Marysia, kładąc łyżkę na stole.*

— *Kiedy ci nie smakuje* — *odrzekła matka* — *to dostaniesz na wieczór lepszą polewkę.*

Matka poszła potem w pole i kopała ziemniaki, a Marysia musiała je wybierać i wsypywać do worków. Po zachodzie słońca wróciły obie do domu. Matka przyniosła wieczerzę. Marysia, skosztowawszy, rzekła:

— *O, to mi dobra polewka, zaraz też lepiej smakuje! — I zjadła pełny talerz.*

Matka uśmiechnęła się i rzekła:

— *To jest ta sama polewka, której na obiad nie chciałaś. Teraz ci lepiej smakuje, boś do samego wieczora pilnie pracowała.*

97. SZKLANKA WODY.

Mówi pan do chłopca:

— *Przynieś szklankę wody dla gościa.*

Chłopiec wchodzi, trzymając szklankę z wodą w ręku.

Pan do niego:

— *Przynieś wodę przecież na talerzyku!*

Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz, i niosąc, mówi do siebie:

— *Ciekawy jestem, jak gość tę wodę z talerzyka wypije?*

98. Nasze odzienie.

Ojciec obiecał mi na święta nowe ubranie. Trzy tygodnie przed świętami wziął mię ze sobą do krawca. Krawiec pokazał nam różne materje ze sukna. Najbardziej podobała mi się materja granatowa, i ojciec kazał mi z niej uszyć ubranie. Krawiec wziął potem miarę, metrem wstążkowym mierzył długość tułowia, ramion i nóg i zapisywał liczby do książki. Na drugi dzień poszedłem znowu do krawca zapytać się, czy moje ubranie już się szyje. Krawiec właśnie krajał moje sukno nożycami a potem oddał je czeladnikowi do szycia. Przed świętami

przyniósł mi krawczyk gotowe ubranie. Ucieszyłem się z tego bardzo i zaraz je wdziałem, aby zobaczyć, czy na mnie dobrze leży.

Surduł ma przód, tył, rękawy i kołnierz. Widać na nim szwy, guziki i dziurki od guzików. Z boku są dwie kieszenie. Pod spodem jest podszewka. Kamizelka nie ma rękawów; z tyłu ma dwa paski i sprzączkę. Spodnie mają dwie nogawice, a w tyle także sprzączkę. Spodnie noszę na szelkach. W nowem ubraniu chodzę tylko do kościoła.

Rodzice sprawili mi też nowe buciki i pończochy, a wuj kupił mi nowy kapelusz u kapelusznika. Miałem więc na święta całe odzienie nowe. Bardzo mi było w niem dobrze i przyjemnie.

Siostrzyczka moja Agnieszka otrzymała także nowe odzienie. Ma nową sukienkę, bluzkę i fartuszek. Na głowie nosi czapeczkę, na nogach trzewiczki. Gdy jest zimno, wkłada na ubranie płaszczyk. Ja także mam płaszczyk i czapkę na zimę. Oboje bardzo szanujemy nowe ubrania.

Pod ubraniem nosimy bieliznę. Mama daje nam dwa razy w tygodniu świeżą bieliznę. Na noc zdejmujemy koszulę dzienną a kładziemy nocną, aby koszula dzienna się przewietrzyła.

99. HENRYŚ I MICHAŚ.

Henryś: Czemu to, Michasiu drogi,
Choć jesteś tak ubogi,
Zawsześ tak pięknie ubrany?

Michaś: Nic dziwnego, mój kochany!
Ot, słucham nakazu mamy;

Gdy dziurka robi się mała,
Proszę mateczki, by ją załatała,
I nie rozedrze się dalej.
A jak bez dziur, bez plamy,
To każdy pochwali.

100. *DWIE SUKNIE.*

*Dorotka dwie suknie miała;
Kiedy w jednej chodziła, drugą sobie prala.
I czyściutko zawsze było.
Aż patrzeć miło!
Niejeden więc łamał głowę,
Że ma suknie coraz nowe;
A ona się w duchu śmiała,
Bo dwie suknie tylko miała.
Co to znaczy ochędóstwo!
Przy niem nie znać, co ubóstwo.*

101. *MIESZKANIE.*

Kornelek i Wojtuś siedzieli w szkole obok siebie. Kornel był synem majątnych rodziców, a Wojtuś miał rodziców ubogich. Jednak Kornel od pierwszego dnia polubił Wojtusia i wkrótce zaprosił go do swego domu.

Mieszkanie Kornela znajdowało się w pięknej willi. Z sieni wchodziło się najprzód do przedpokoju. Tu Wojtuś i Kornelek zawiesili na wieszadle swoje czapeczki. Potem weszli do jadalni. Pokój był duży i wysoki, ściany były malowane. Podłoga aż lśniła się od czystości, a na niej leżał duży kobierzec. Wojtuś bał się nań wejść, ale

gdy Kornelek go pociągnął, przekonał się, że po kobiercu tak miękko się chodzi jak po mchu w lesie. Oprócz kobierca leżały na podłodze chodniki. Na środku pokoju stał duży stół, a koło niego krzesła. Na stole leżało piękne przykrycie, a na niem wazonik z kwiatami.

Przy ścianie stała miękka sofa i oszklona szafa z książkami. Na ścianach wisiały duże obrazy w złożonych ramach i piękny oszklony zegar. Z powały zwisała na trzech łańcuszkach duża lampa. Kornelek pokazał Wojtusiowi, jak lampę można ściągnąć wdół aż do stołu i znowu podnieść. Na osobnych stolikach stały w pobliżu okien wazoniki z kwiatami. Przy oknach wisiały białe firanki. W jednym oknie była zasłona spuszczone, by słońce nie uszkodziło obrazów.

— Piękne macie mieszkanie i piękne urządzenie — rzekł Wojtuś. — Ale gdzie macie łóżka?

— Łóżka i inne meble stoją w sypialni.

— A gdzie gotujecie? — zapytał Wojtuś.

— Gotuje się w kuchni, — odpowiedział Kornelek.

— To wasze mieszkanie ma przedpokój, dwa pokoje i kuchnię — rzekł Wojtuś. — A my mamy tylko jeden pokój. W nim matka gotuje, ojciec pracuje, jeżeli jest w domu, a ja się uczę i piszę zadania. W nocy śpimy wszyscy w tym samym pokoju. Nie mamy tak pięknego urządzenia jak wy, ale i w naszym pokoiku jest czyściutko i miło. Przyjdź jutro do nas, a oglądniesz sobie nasze mieszkanie.

Kornelek obiecał Wojtusiowi, że go chętnie odwiedzi, co też nazajutrz uczynił.

ZAGADKA.

Bez nóg, a idzie, bez rąk, a bije,
Ciągłe się rusza, a jednak nie żyje.

102. Ostrożnie z ogniem.

Michaś bawił się ogniem w kuchni, gdy matka prasowała bieliznę. Brał trzaseczki, wywijał nimi, a gdy zgasły, dmuchał na węgle. Matka napominała go, aby zaniechał tej niebezpiecznej zabawy. Michaś usłuchał zrazu. Lecz zaledwie matka wyszła do robotników w pole, chłopiec rozpoczął znowu swoją zabawkę. Nie spostrzegł niestety, jak iskra padła na łóżko między słomę. Po chwilce płomień buchnął z posłania, a Michaś przestraszony uciekł i skrył się w bliskiej olszynie.



Tymczasem zajęła się od ognia w kuchni szafa, ława, potem drzwi i ściany, a za pół godziny palił się dom cały. Przybiegli ludzie ratować, ale już było za późno. Wszystko się spaliło. Nie było już gdzie mieszkać, nie było w czym chodzić, nie było co jeść. Ach, jak bardzo płakali biedni rodzice! Nieposłuszny Michaś był przyczyną wielkiego nieszczęścia.

103. Straż pożarna.

Gdy się u rodziców Michasia paliło, spółtuczeń jego Ludwik pisał właśnie zadanie. Naraz usłyszał z drogi głos trąbki. Wyjrzał przez okno na drogę i zobaczył pędzącą do ognia straż pożarną. Dwie pary koni ciągnęły dużą sikawkę; na sikawce siedziało kilku strażaków. Za nią jechał wóz ze zwiniętymi węzami. Trzeci wóz wioził drabiny. I na tych wozach siedzieli strażacy.

Ludwik porwał czapkę i pobiegł za strażą do ognia. Przybiegł tu prawie ze strażą. Chaty Michasia nie było już można ratować, bo stała cała w płomieniach. Ale obok stał domek sąsiada. Strażacy szybko przystawili drabiny do tego domku i wychodzili na nie. W ręku trzymali węża. Inni strażacy ułożyli na ziemi węże od sikawki aż do bliskiego potoku. Strażacy, którzy przyjechali na sikawce, zaczęli pompować wodę. Po chwili, gdy ułożono całego węża, buchnął z niego strumień wody. Strażak, który stał najwyżej na drabinie, oblewał nią dach domku. Dach byłby się zapalił, bo się z niego już dymiło. Domek był uratowany. Lecz chata Michasia zawaliła się po chwili. Wtedy strażacy osękami rozrywali palące się gruzy i zalewali je wodą, aby wiatr po ich odejściu nie przeniósł iskier na wieś.

Teraz Ludwik miał czas przypatrzeć się lepiej stojącemu obok strażakowi. Miał on na głowie żółty metalowy hełm. Przez ramię miał przewieszoną długą linkę. U lewego boku wisiały na pasie siekierka i hak.

Gdy pożar był ugaszony, strażacy odwieźli swoje przyrządy napowrót do strażnicy pożarnej, gdzie je przechowują. Strażnica ta ma wieżę. Na niej ćwiczą się strażacy i uczą wspinania się po drabinach.

Ludwik postanowił sobie, gdy dorośnie, wstąpić także do straży pożarnej, by móc w nieszczęściu śpieszyć bliźnim z pomocą.

104. KROPLA DESZCZU.

Patrz! Deszczu kropelka upadła na kwiatek i wnet się stoczyła na rozmiękłą ziemię. Stąd wiele jej siostrzyc biegło do strumyka i nasza kropelka popłynęła z niemi przez ogród, przez łąkę do pobliskiej rzeczki. Spadły razem na ciężkie koło młyńskie, aż się obróciło, i pomknęły dalej.

A na rzece krople jęły się roboty: To dźwigały łódkę, poiły rybki, aż z rzeczutki wpadły do ogromnej rzeki.

Długo kropelka bujała swobodnie i dobrze jej było w głębinie wód rzecznych.

Pewnego południa wypłynęła na wierzch. Wtem dotknął jej promyk słoneczka, zamienił w parę i podniósł do góry ponad łąki, błonia wysoko!

Odtąd już kropelka płynęła w chmurze.

Raz wiatr dmuchnął groźnie i chmura zamieniła się w gałeczki lodowe, a gdy spadały na ziemię, ludzie wołali: Grad pada, grad pada!

105. Strony świata.

Było to w lecie. Promienie wschodzącego słońca wpadały do pokoju małego Leosia i muskały go po twarzy. Chłopczyk budził się i natychmiast wstawał z łóżeczka. Pomodliwszy się, ubierał się szybko a po-

tem wybiegał do ogrodu. Tu z radością oddychał świeżem, czystem powietrzem i podziwiał budzący się świat. Leosł spostrzegł, że rano słońce zawsze wschodziło w jednej i tej samej okolicy. Okolicę tę jego ojciec nazywał wschodem. Na tę wschodnią stronę wychodziło okno pokoiku Leosia, dlatego to słońce budziło go co rano. Niekiedy budził go śpiew ptaków jeszcze przed wschodem słońca. Na świecie było już nawpół widno, a niebo na wschodzie było czerwone jak w ogniu. Była to zorza poranna.

Po śniadaniu Leosł wychodził do szkoły i tam na nauce spędzał całe przedpołudnie. Gdy wracał po nauce do domu, właśnie w fabrykach huczały syreny, a na pobliskiej wieży dzwoniono. Było to południe. Słońce stało wysoko na niebie, ale w innej stronie, nie tam, gdzie widział je rano. Tę stronę nieba, w której słońce stało tak wysoko, ojciec Leosia nazywał południową.

Po obiedzie Leosł pisał zadania a potem bawił się ze spółuczniami. Słońce także nie próżnowało, lecz zniżało się z wysokości nieba do tego miejsca, gdzie zwykle wieczorem zachodziło. Leosł sam odgadł, że ta strona świata nazywa się zachodem. Po zachodzie słońca niebo w tem miejscu długo jeszcze było ślicznie czerwone. Była to zorza wieczorna.

Gdy Leosł zwrócił się twarzą w południe do słońca, miał po lewej ręce wschód a po prawej zachód. Tę stronę zaś nieba, którą miał za plecami, a w której słońca nigdy nie widział, nie umiał nazwać. Długo się namyślał, ale nic nie wymyślił. Wtedy ojciec powiedział mu, że ta strona nazywa się północną.

Tak poznał Leosł cztery strony świata: Wschód, zachód, południe i północ.

106. OD KOGO WSZYSTKO.

Kto dał śliczne światółko,
Gdy się dziecię budzi?
Kto dał kwiatki i drzewka,
I ptaszki dla ludzi?
Kto dał wodę w źródółku
I na chlebek zboże?
Bóg, co Go człowiek widzieć
I pojąć nie może.
Wszystko, wszystko od Niego,
O, dziecino droga,
Módlże się więc pobożnie
I kochajże Boga.

107. KSIĘŻYC.

Ze swojego okienka widział Leos̄ jednego wieczora, jak na wschodzie niebo się zaczerwieniło. Z początku zdawało mu się, że to gdzieś w sąsiedniej wiosce się pali. Ale za chwilę spostrzegł, że tam za polami wychodzi jakby z ziemi coś okrągłego, czerwonego. Po chwili nad ziemią unosiła się duża czerwona tarcza księżyca, świecąca jakby latarnia. Leosiowi zdawało się, że tarcza wygląda jak wesółą twarz ludzką, że ma oczy, nos i usta i że mu chce powiedzieć: Dobry wieczór! I widać prawie było, jak się księżyc od ziemi podnosił. Gdy wyszedł wyżej, stał się z czerwonego żółty. Był zupełnie okrągłutki i tworzył pełne koło. Leos̄ wyrysował księżyc i pokazał na drugi dzień ojcu. Ojciec rzekł: To jest księżyc w pełni. Świecił jasno całą noc

i na świecie było tak widno, że dalekie drzewa i domy dobrze było widać. Kto musi w nocy wychodzić lub wracać, cieszy się, gdy jest pełnia, bo mu się wtedy dobrze idzie. Tylko złodzieje nie lubią pełni.

Od tego dnia Leoś spoglądał wieczorem codziennie w stronę wschodnią, ażeby widzieć wschód księżyca. Ale na drugi dzień musiał dłużej czekać. Księżyc się spóźnił, jak to niekiedy i opieszale dzieci się spażniają do szkoły. Na trzeci dzień księżyc spóźnił się jeszcze więcej, a na czwarty dzień Leoś nie mógł się go wcale doczekać i położył się do snu. Po kilku dniach zobaczył go znowu, ale dopiero rano. Księżyc wyglądał wtedy jak sierp. Leoś znowu go wyrysował i pokazał ojcu, a ojciec rzekł:



Pełnia



Księżyc malejący



Nów



Księżyc rosnący

Księżyc teraz ubywa, aż całkiem zniknie. Wtedy daremniebyś go szukał na niebie. Będzie to nów. Podczas nowiu noce są ciemne. Ludzie na wsi, wychodzący wtedy z domu w nocy, zabierają z sobą latarnie.

Po kilku dniach był nów. Leoś wyszedł wieczorem w pole. Na niebie iskrzyły się tysiące gwiazd. Lecz księżyca nie było i noc była bardzo ciemna.

Po nowiu Leoś oglądał co wieczora ciekawie niebo. Aż tu jednego wieczora zobaczył na zachodzie znowu sierp księżyca.

Leoś wyrysował go i o dziwo! przekonał się, że jest odwrócony. Gdy Leoś rysunek pokazał ojcu, ten rzekł:

— Teraz księżyc przybywa. Codziennie będzie teraz większy, a za tydzień będzie znowu pełny. Wyrysuj jeszcze raz księżyc w jego 4 odmianach, nów oznacz czarnym kółkiem i napisz pod tem, jak się odmiany nazywają i czy księżyc przybywa, czy ubywa.

Leoś narysował i napisał tak, jak to na stronicy 196 widzicie.

108. K A L E N D A R Z.

Zygmus bardzo lubił książki z bajkami i wnet przeczytał wszystkie, które otrzymał na gwiazdkę. Gdy zobaczył raz ojca, wracającego do domu z jakąś książką, pomyślał: Pewno nowe powiastki dla mnie!

Pomylił się jednak, gdyż tatuś nie przyniósł bajek, lecz kalendarz.

Zygmus wiedział już o tem, że w kalendarzu jest każdy dzień roku zapisany. Cóż, kiedy dokładnego podziału czasu jeszcze nie znał. Zapoznał się z nim dopiero teraz, przeglądając z ojcem kalendarz.

Dowiedział się z niego, że rok dzielimy na 12 miesięcy, które po sobie tak następują:

Styczeń	lipiec
luty	sierpień
marzec	wrzesień
kwiecień	październik
maj	listopad
czerwiec	grudzień.

Dowiedział się również, że każdy miesiąc podzielony jest na dni: Luty liczy ich 28, a inne miesiące liczą

naprzemian po 30 lub 31 dni. Zygmus nauczył się nazw miesięcy napamięć i zapamiętał sobie, ile dni ma każdy z nich. Z początku pomagał sobie członkami na rękach. Ale wkrótce wiedział dokładnie z pamięci, ile ma dni który miesiąc.

Co siódmy dzień jest w kalendarzu odgraniczony kreską na znak, że siedm dni tworzy jeden tydzień. Niedziele i święta są oznaczone czerwonym drukiem, dni robocze czarnym. Nazwy dni tygodnia Zygmus już dawno umie wymienić. Są to: Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota i niedziela. Wie też, dlaczego dni się tak nazywają. Wie, że niedziela jest dniem świętym i cichym, w którym nie powinno się hałasować ani też wykonywać głośnych robót.

109. Skąd pochodzą nazwy miesięcy.

— Tatusiu! — mówił raz Zygmus, — oglądałem dziś jeszcze raz kalendarz i myślałem nad tem, skąd się biorą nazwy miesięcy.

Niektóre były bardzo łatwo zrozumiałe jak kwiecień, lipiec, sierpień i listopad. Nad innemi musiałem trochę głowę pobiedzić, nim je rozwiązałem. Pomogła mi też starsza siostrzyczka. I wiem już, że styczeń dlatego się tak nazywa, że w miesiącu tym styka się stary rok z nowym. Luty znaczy tyle co srogi, bo w tym miesiącu panują srogie mrozy. Wrzesień pochodzi od wrzосу, który w tym miesiącu kwitnie. Zaś w grudniu ziemia marznie i tworzą się twarde grudy. Nazwy marzec i maj pochodzą z języka łacińskiego. Lecz dwóch nazw w żaden sposób wytłumaczyć ani ja, ani siostra nie umiemy. Skąd pochodzą nazwy czerwiec i październik?

— Zaraz ci pomogę — odpowiedział ojciec, uradowany bardzo, że Zygmuta ciekawią takie rzeczy.

Nazwę czerwiec nietrudno objaśnić. Trzeba tylko wiedzieć, co to jest czerw. Czerw, to małe gąsieniczki pszczoł, które pszczoły karmią pyłkiem kwiatów. Z tego czerwiu powstają potem pszczoły.

— Aha — krzyknął Zygmunt — zapewne w tym miesiącu lęgnie się najwięcej tego czerwiu i stąd nazwa czerwiec.

— Nieinaczej — odrzekł ojciec.

— A teraz słuchaj, co ci o październiku opowiem. Mam tu obrazek rośliny o ładnych niebieskawych kwiatach. Znasz ją?

— To len! Na wsi widziałem całe łany lnu!

— Otóż widzisz. Wnet po wakacjach len dojrzewa. W jego łodydze znajdują się mocne nitki czyli włókna. Wieśniacy len wrywają, potem go moczą i suszą na przemian.

W wodzie wszystkie części łodygi nadgniją prócz włókien. Łodygi przez suszenie stają się kruche, włókna jednak pozostają miękkie. Gdy potem len łamią, odpadają te kruche części łodygi. Nazywają się one paździerzem. A od paździerza otrzymał miesiąc, w którym len zwykle łamią, nazwę październik.

— Jakież to zajmujące — zawołał uradowany Zygmunt. Teraz już wiem o wszystkich miesiącach, dlaczego się tak nazywają.

110. Ś L A S K.

Jeżeli wyjdiesz z wsi rodzinnej na dłuższą przechadzkę, przyjdiesz do innej wsi albo do miasta. Koleją albo tramwajem możesz także zajechać do innych wsi albo do innego miasta. Wymień nazwy innych wsi! Czy znasz też nazwy innych miast?

Gdybyś poszedł jeszcze dalej i szedł cały dzień, dwa dni, tydzień, zobaczyłbyś jeszcze wiele wsi i miast. Wszędzie spotkałbyś ludzi, którzy tak mówią jak ty. Mówią po polsku. Mogłbyś się ich o co bądź zapytać, zarazby cię zrozumieli i odpowiedzieliby ci po polsku.

Wiele, wiele wsi i miast tworzy kraj. Nasz kraj nazywa się Śląsk. Jest to kraj bardzo piękny. Mamy tu pola, łąki i lasy, doliny, pagórki i góry, strumyki, rzeki i stawy. Mamy dużo pięknych wsi i wiele ludnych miast. Na Śląsku są też wielkie bogactwa. Pola dają obfite plony, wielkie lasy dostarczają drzewa, a w ziemi leżą ogromne ilości węgla i rudy.

111. O Ś L ą s k u.

*Ileż cierpiał Śląsk kochany,
Od Macierzy oderwany!
Gdy go w obce ręce dano,
W Polsce o nim zapomniano!*

*Lecz lud polskim był i został,
Niemiec w walce z nim nie sprostał.
Lud ten ubiór dawny chowa,
Choć się wplotły obce słowa.*

*Mowę polską lud ten ceni,
Wiary swojej nie odmieni.
Ponad Odrą Śląsk kochany
W szaty dymów owijany.*

*Dużo widac zboża fal.
W głębi ziemi górnik kuje,
Węgiel, ołów wykopuje.
Huty kują twardą stal.*

112. POLSKA.

Nie tylko na Śląsku mówią ludzie po polsku. Mógłbym pójść daleko poza Śląsk na wschód i na północ i wszędzie spotkałbym ludzi, mówiących tak jak ja, to jest po polsku. Niektórzy się inaczej ubierają niż my. Ale wszystkich mógłbym zrozumieć, bo mówią tym samym językiem co ja, to jest polskim. Dlatego dobrze byłoby mi z nimi, bo mógłbym z nimi rozmawiać. Czułbym, że to też Polacy, i kochałbym ich, jak kocham ludzi mojej wsi rodzinnej.

Wszędzie, gdzie ludzie mówią po polsku, jest Polska. Jest to nasza Ojczyzna. Jest ona bardzo wielka, długa i szeroka. Gdybym ją chciał przejść z jednego końca na drugi, potrzebowałbym do tego pół roku. Zobaczyłbym wielką rzekę Wisłę, którą nazywają królową rzek polskich. Po Wiśle płyną już okręty, tak dużo ma wody. Zobaczyłbym też Warszawę, największe miasto w Polsce. W Warszawie mieszka Pan Prezydent. A wreszcie zobaczyłbym morze a na niem okręty z Orłem Białym na chorągwiach.

Gdy dorosnę, zwiedzę nasze polskie morze i przejadę się okrętem. Cieszę się bardzo, że nasza Ojczyzna jest tak wielka i tak piękna. Bardzo ją też kocham.

113. Hymn narodowy.

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść, które przygnebić ją miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie!

Wróć naszej Polsce świetność starożytna,
Użyźniaj pola, spustoszone łąny,
Niech szczęście, pokój na zawsze zakwitną,
Przestań nas karać, Boże zagniewany.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie;
Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie!

114. Rozmowa polskich dzieci.

Kto ty jesteś?	— Polak mały.
Jaki znak twój?	— Orzeł Biały.
Gdzie ty mieszkasz?	— Między swymi.
W jakim kraju?	— W Polskiej Ziemi.
Czem ta Ziemia?	— Mą Ojczyzną.
Czem zdobyta?	— Krwią i blizną.
Czy Ją kochasz?	— Kocham szczerze.
A w co wierzysz?	— W Polskę wierzę!
Coś ty dla Niej?	— Wdzięczne dziecie.
Coś Jej winien?	— Oddać życie.

115. *Co to Polska?*

*Co to Polska? Znaj, o znaj!
Jest to wielki, piękny kraj,
To Ojczyzna, twoja matka!
Kościół, wioska i twa chatka
I to niebo nad górami,
I te góry za lasami,
I te wody, co wdal płyną,
I te pieśni, co nie giną,
I ci ludzie, co ich znasz,
To jest Polska, to kraj nasz.*

116. Mały dobosz.

Duże stawia kroki	Dwiema pałeczkami
Jurek, dobosz mały,	Rączy w bęben bije,
Myśli, że prowadzi	A w jasnej głowieńce
Pułk żołnierzy cały.	Piękna myśl się kryje:
Liczko żarem płonie,	Że jak będzie trzeba
I oczęta świeca,	Bronić Polskiej Ziemi.
Z pod białej czapeczki	Uderzy w bębenek
Włosy z wichrem lecą.	Patyczkami swemi.



Poprowadzi wojsko
W bój, jak gdyby w tany,
I wypędzi wroga
Z Ojczyzny kochanej.

A wtedy z serc wszystkich
Cudna pieśń popłynie:
Jeszcze nie zginęła
I nigdy nie zginie.

117. Co kochać.

Co masz kochać? — pytasz dziecię,
Co dla serca jest drogiego?
Kochaj Boga, bo na świecie
Nic nie stało się bez Niego.

Kochaj Ojca, Matkę swoją,
Módl się za nich codzień zrana,
Bo przy tobie oni stoją
Niby straż od Boga dana.

Do Ojczyzny po rodzinie
Rozpal czysty żar miłości;
Tuś się zrodził, w tej krainie,
I tu złożysz swoje kości.

Spis ustępów części III.

Gwiazdka (*) oznacza ustęp wierszem. Krzyżyk (†) oznacza ustęp
z obrazkiem.

1. *Ojciec nasz. Chrzęszcżewska, Mały Świątek 1910.	93
2. Jezus przyjaciel dzieci. Według Ks. Gralewskiego, Pan Jezus w duszy dziecka.	93
3. *Sumienie. Z pogadanek etycznych Niewiadomskiej.	94
4. *Matka. Z czytanki Komischkiego.	94
5. Spojrzenie matki ratuje dziecko. Z czytanki Komischkiego.	95
6. *Brat i siostra. St. Jachowicz.	96
7. Podarunek wnuka.	96
8. O sierotce Marysi.	97
9. Rodzina. Według „Naszej szkoły“ Pawlikowskiego	98
10. Krewni Tadzia.	99
11. Służba.	100
12. Zwierzęta pokojowe.	101
13. *Przygoda Jasia z Burkiem. Wł. Anczyc.	102
14. *†Kotek bezdomny. M. Chełmońska.	102
15. *Dwa kotki. St. Jachowicz.	103
16. Chatka rodzinna.	103
17. Nasza szkoła.	104
18. Nieszczęśliwa książka. Kędziński, Wypisy polskie, część I.	106
19. Unikaj kłótni. St. Thomas.	107
20. Oszczędzajcie, dzieci!	108
21. *Kościołek. St. Jachowicz.	109
22. †Kościołek w Koszęcinie.	109
23. Cudowny dzwon we Frysztacie.	111
24. Kościół.	113
25. Wieś rodzinna.	114

26. Roztropny chłopek. Z czytanki Karella	116
27. †Druciarz.	117
28. *†Konik i wróbelek.	118
29. O niemądrym chłopie. Z Skarbca strzechy naszej.	119
30. *†Gęsiarek. M. Dynowska.	119
31. *Zuch. Z elementarza Chrzęszczewskiej i Porazińskiej	120
32. Mucha i wół. Z wypisów B. T. Wocalewskiego.	121
33. †Posłuszne kozłátko.	122
34. *Krasnoludki.	123
35. Macierzyńska miłość bociana.	125
36. Skowronek.	125
37. *Jaskółka. Marja Konopnicka.	126
38. *†Gniazdko. Chrzęszczewska.	127
39. *Wiejska muzyka.	128
40. W ogródku na wiosnę.	128
41. *Pszczołki.	130
42. Pan doktor dzieciół. Z elementarza Chrzęszczewskiej i Brewińskiej.	131
43. *Poziomkowy krzaczek. Z czytanki Karella	132
44. Zwierzęta w polu.	133
45. *Muchy samochwały. Marja Konopnicka.	134
46. Mieszkańcy strumyka.	135
47. †Dobrem za złe.	136
48. Z rozmysłem czy z masłem. Jutrzenka.	137
49. †Staw.	137
50. Słowik.	140
51. Jak nauczyły się ptaszki śpiewać.	140
52. Sianokosy.	141
53. †Las. Według M. Weryho.	143
54. *Echo. Z elementarza Arnoldowej i Witwickiej.	144
55. *Pod grzybkiem. St. Kossuthówna, Płomyczek 1925/26	144
56. †Wygodny Miś.	145
57. Czarna Księżna.	147

58. *Kmiotek i wiewiórka.

59. Krasnoludki i wiewiórka

60. *Krasnoludki i sowa
czek 1924/25. .

61. *Sowy. Władcy

62. †Wycieczka

63. †O Złotog

64. Dziecię
Nasz

65. *Lat

66. Up

67. *Γ

68. †

69.

70.

71

7

7

. 178
. 180

Płomyk 1926, Józef

. 181
. 182
. 183
. 184
. 186
. 186
. 187
. 187
. 188
. 189
. 189
191
192
93
93
5

Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030001389904



II 1178523